№ 21. Warszawa, dnia 13 (25) Maja 1878 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Kilka uwag o wychowaniu dzieci.

(Dokończenie).

Dzieci całem sercem swem młodocianem cieszą się z tego wszystkiego, co im rodzice niosą w ofierze. Każda nowa sukienka, buciki, czapeczka, kapelusik, każda nowa zabawka, lalka lub konik. wstążka igielniczek, trąbka lub bębenek, niesłychanie je radują. Każda wycieczka do ogrodu publicznego, gdzie czeka je towarzystwo liczne innych dziatek i z niemi wesoła zabawa, odwiedziny do znajomych dzieci, lub przejażdżka za miasto, gdzie bujają wesoło, jak ptaszki po polu, rozweselają ich umysły i radością napełniają ich serduszka. Tu właśnie jest pole obszerne dla matki lub nauczycielki do kształcenia serca dziecka i przejmowania go wdzięcznością dla Stwórcy za te wszystkie przyjemności jakiemi dziecię się raduje. Idąc potem do kościoła i zabierając z sobą dziecię, niechże mu przypomni że idzie prosić Boga o życie długie ojca i matki, bo gdyby rodziców Bóg zabrał, nie byłoby ani tej nowej sukienki, ani zabawek, ani innych przyjemności że idzie dziękować Bogu za pomyślne powodzenie rodziców i prosić o ich zdrowie i o swoje, bo wszystko jest w Jego mocy, bo od Jego woli zawisło szczęście lub nieszczęście całych rodzin, a jeśli dziecko winne rodzicom miłość, wdzięczność i posłuszeństwo, to przedewszystkiem Bogu najwyższa cześć, wdzięczność i posłuszeństwo Jego woli się należy. Zwolna dziecko poznaje na każdym kroku Boga, poznaje Jego wielkość, przejmuje się uszanowaniem dla domu Bożego, a tym sposobem matka lub nauczycielka rozpoczyna jego edukacyą od kształcenia serca na gruncie religijno-moralnem. Dziecię zaczyna pojmować dlaczego się modli i naśladuje ją, nie mówiąc już paciorka w kościele bezmyślnie, ale choć zupełnie dobrze go jeszcze nie rozumie, wdzięcznem sercem jednak ofiaruje Bogu, jako Najwyższemu Panu, od którego los jego rodziców zależy.

Serce każdego dziecka skłonne jest do litości. Tę budzić przy każdej sposobności należy. Niech dziecko uczy się od pierwszego dzieciństwa miłosierdzia dla potrzebujących, niech odczuwa ich niedolę i niech zawczasu przyzwyczaja się odmawiać sobie w przyjemnostkach i wygodach, niosąc jałmużnę ubogim, bo modlitwa jego zanoszona do Boga, zawczasu gruntować w sercu będzie zasadę świętą, że „wiara bez uczynków martwa jest.“ Niech dziecię od chwili przychodzenia do pojmowania prawd wiary uczy się tej wielkiej maksymy chrześciańskiej: „kochaj bliźniego jak siebie samego.“ „Głodnego nakarmij, pragnącego napój, nagiego przyodziej.“ Dla proszącego o jałmużnę rodzice lub nauczyciele domowi nie powinni przy dziecku nigdy być opryskliwemi, choćby nawet przekonani byli, że domagający się na nią nie zasługuje, bo dziecko powinno przejąć się tą świętą zasadą, że co ofiaruje biednemu, składa na ofiarę Bogu, a lepiej na dziesięciu wyciągających rękę po jałmużnę dziewięć razy się omylić, niż jednemu prawdziwie potrzebującemu odmówić. Zadaniem wychowujących dzieci, w samych początkach kształcenia ich władz umysłowych, jest umiejętne obudzanie ciekawości, przy czem największą cierpliwość i słodycz zachować należy. Dzieci pytają bez końca, a na wszystko odpowiadać im przystępnie do wieku i pojęcia należy, tak ażeby dziecko zawsze było zadowolone, a zarazem żeby w odpowiedzi sobie danej, znalazło materyał do nowego zapytania. Niecierpliwienie się ze strony wychowujących zraża dziecko, odbiera mu stopniowo odwagę do czynienia zapytań, a wtedy wychowujący nie odpowiada swemu zadaniu, bo nie posiadając bezwarunkowego zaufania swego wychowańca, słabo oddziaływa na jego serce i nie sieje w niem zasad religijno moralnych. Zdarza się niekiedy, że dziecko uczyni zapytanie, którego bezpośrednia odpowiedź nie byłaby właściwą ani dla jego wieku ani odpowiednią pojęciu, bardzo ważnego wtedy błędu dopuszczają się nauczyciel lub nauczycielka, jeśli popisują się przed swoim wychowańcem lub wychowanicą erudycyą, która żadnej korzyści dziecku nie rozwiniętemu umysłowo przynieść nie może, albo co gorsza jeszcze większy popełniają błąd suchą odpowiedzią: „jak będziesz starszy (starsza) to się dowiesz.“ Taką odpowiedzią nie zaspakaja się ciekawości dziecka, tylko się zaostrza i zwolna uczy się dziecko niepotrzebnych domysłów, wypływających stanowczo na jego i wychowujących niekorzyść. Nie można dać kategorycznej odpowiedzi? Zgoda, lecz zawsze dać jakąś potrzeba, którą zdrowy rozsądek doradzi. Raz jeszcze powtarzamy, że umieć z dziećmi rozmawiać i tym sposobem umysł ich rozwijać, to najwyższa mądrość pedagogiczna, to zasługa wielka względem społeczeństwa, bo tę maleńką istotkę rozwija moralnie, to godne spełnianie obowiązku, to prawdziwe kapłaństwo. Od najpierwszych chwil życia umysłowego dziecka trzeba uczyć je umiejętnie i skutecznie pokory ducha. „Nie baw się z temi obdartusami, nie wdawaj się z chłopcem stróża, ani mi się waż rozmawiać z dziewczyną tej wyrobnicy, co mieszka w suterynach i t. d.“

W taki sposób rozkazy z ust wychowujących nigdy wychodzić nie powinny, bo uczą dziecko pogardy dla biedniejszych. Więc, pomyślą sobie oburzone matki i nauczycielki, że daję rady, aby dzieciom pozwalano obcować z dziećmi nie odbierającemi zasad wychowania religijno-moralnego. Nie. Wychowujący nie powinni nigdy odwracać oczu od swoich wychowańców, a jeśli wypadnie, że ich na jakąś chwilę pozostawiają własnej woli i swobodzie, to należy ich rozumnie przygotować, ażeby byli grzeczni dla innych uboższych nie odbierających wycho-

wania dziatek: ażeby łakotkami, ubraniem i zabawkami z niemi się dzielili, ale unikali zabawy wspólnej i rozmowy, bo te dzieci są nieszczęśliwe, bez opieki rodziców, którzy cały dzień zdala od nich na chleb powszedni pracują, bez nauczycieli, bo rodzice ich nie posiadają środków do ich utrzymywania, więc niczego się nie uczą, a tym sposobem rosną w niewiadomości, jak dzikie zwierzątka i nie wiedząc nawet postępują często źle, bo nie mają pojęcia ani o dobrém, ani o złem, kochać ich jako bliźnich swoich, jako dzieci jednego ojca należy, dopomagać im w czem tylko możemy, oświecać je stosownie do możności naszej, ale obcować z niemi ciągle nie można. Dziecko wtedy lituje się nad niedolą tych dzieci, miłuje je i dalekiem zawsze będzie od pogardy, którą wychowujący często nietaktem w sercach młodocianych zaszczepiają.

Na zachowanie się dzieci względem domowników, służby, uwagę wychowujący zwracać powinni od najpierwszych chwil, w których umysł dziecka poczyna się rozbudzać. Zawczasu, stopniowo do rozwijającego się pojęcia, należy w dziecku gruntować tę zasadę, że wszyscy stworzeni jesteśmy przez Boga na to, ażebyśmy rozmaitemi sposobami jedni drugim służyli, a stosownie do naszego wykształcenia umysłowego zajmujemy rozmaite z dopuszczenia woli Bożej stanowiska na tym świecie, będąc wszyscy najpokorniejszemi Boga sługami i Jego posłusznemi dziećmi. Dziecko w służących powinno uważać nie żadnych niewolników lecz domowników dopomagających rodzicom do dźwigania ciężkiego brzemienia, a w rodzicach powinno widzieć łaskawych opiekuńów dla ludzi szukających u nich kawałka chleba. Opiekę wszakże nad dzieckiem niech rodzice powierzają li tylko doświadczonej cnoty służącym, bo niestety pomiędzy tą klasą naszego społeczeństwa panuje tak wielki brak poczucia swych obowiązków i często na dzieci wpływają tak szkodliwie, że wielkiej pracy i zachodów potem potrzeba, by wykorzenić z serc to, co się niepotrzebnie tam zabłąkało. Dobra niańka do dziecka, religijna, moralna, uczciwa, to skarb nieoceniony, który szanować należy, bo przecież idzie tu o to, co najdroższego być powinno dla nas, o wychowanie naszych dziatek.

W jednych dzieciach znajdujemy usposobienie łagodne i warunki tak szczęśliwe, że prowadzenie ich nie przedstawia trudności, lecz w innych spotykamy się z dziwnemi skłonnościami tak zmiennemi, kapryśnemi, niekiedy już znamjonującemi fantastyczne usposobienia, że niesłychanej staranności dokładać musimy i niemałe trudy nas czekają, zanim zdołamy grunt ich serc tak uprawić, by zdrowe ziarno rodziło. Według mego przekonania, najważniejsze zadanie jest umieć przedewszystkiem, od 4 do 10 lat życia, wykształcać zmysły a potem rozwinąć umysł i serce do takiego stopnia, żeby nauki później odbierane padały na grunt starannie już uprawiony. Zanim dziecko zacznie się uczyć czytać, już powinno poznać naprzód dokładnie wszystko, z czem spotykać się będzie przy nauce czytania, która tym sposobem nie będzie nauką suchą i nużącą umysł młodociany, lecz przeciwnie będzie miała w sobie pewny urok i najkorzystniejsze wrażenie tak na umyśle, jako i sercu dziecka czynić będzie. Czy to matka, czy nauczycielka pierwiastkowo kształcić będzie władze umysłowe przy nauce, niechże pilną uwagę zwraca na usposobienie dziecka. Jeśli jest zbyt powolne, trzeba umysł jego budzić nieustannem obrazowaniem i uzmysłowianiem wszystkiego, co niedość jest przystępne do pojęcia dziecka, a jeśli jest zbyt żywe, lub roztrzepane nie uważać tego za wadę, nie karcić ciągłem upominaniem broń Boże oprysklíwem, lecz takich sposobów kształcenia władz umysłowych i nauczania wyszukiwać, któreby całkowicie zajęły tak umysł jako i serce dziecka. Zwykle powolne dzieci są mniej pojętne od żywych, lecz natomiast są bardziej cierpliwe. Z temi naukę dłużej można odbywać, gdyż nie prędko się nią nużą. Bystre umysły nie znoszą długiego ślęczenia nad jednym przedmiotem, lecz za to obdarzone szybkiem wszystkiego pojmowaniem, rade ciągle od jednych przedmiotów przebiegać wyobraźnią do drugich. Tu pole obszerne mają wychowujący i uczący zwolna przysposabiać umysł dziecka do systematycznego uporządkowania myśli, która to nauka z dziećmi powolnego usposobienia, choć trochę wolniej, lecz zawsze gruntowniej postępuje, a z dziećmi usposobienia żywego przedstawia takie trudności, że pozostaje nam tylko życzyć pracownikom na tem polu wytrwałości i pamięci na tę ważną maksymę: „jak zasiejemy, takie owoce zbierać będziemy,“ a że żadna nauka bez fundamentów wiary i moralności przyjąć się dla dobra społeczeństwa nie może, obowiązkiem więc naszym z którego przed Bogiem i ludźmi sprawę zdawać będziemy musieli, jest rozwijać umysł i serce dzieci na takich warunkach, ażeby w każdej przygodzie ich życia w przyszłości ślady domowego wychowania opartego na religii i moralności, zawsze były widoczne.

Leopold Winkler.

ŻYCZENIE.

Gdybym ja była rybką w morskiej fali,
Albo gwiazdeczką błyszczącą w oddali,
Tą która wisi u stropu błękitu,
Lub szczęściem potrzebnem dla ludzkiego bytu:

Albo słowikiem co śpiewem raduje,
Albo kukułką gdy w maju zakuje,
Albo na ziemi — kwiateczkiem świeżuchnym,
Lub tam... wysoko — aniołkiem bieluchnym.

Żebym się mogła w obłoczek na niebie
Lub w jasne słonko, albo zmienić siebie
W drzewko, lub w trawkę... w strugę wody czystą,
Lub wreszcie w łezkę, jak kryształ przejrzystą.

Gdybym ja była wszystkiem — lecz nie sobą,
Choćby skromniutką ogrodu ozdobą,
Choć niezabudką nad brzegiem strumyka —
Byle nie smutną postacią puszczyka.

Bo jabym chciała nie śmierć, nie żałobę,
Ludziom przynosić — lecz życia osłodę,
Utkać im żywot uśmiechem, nie łzami,
Umilić go piosnką, zielenią, kwiatami.

Tak sobie dawniej myślałam żałosna,
Gdy naokoło zakwitnęła wiosna,
Gdy każda trawka tak mile witana
Była przez ludzi — a z żalem żegnana.

A teraz pragnę być tylko kobietą,
Do czynów szlachetnych najpierwszą podniętą,
Chciałabym ludziom stać się użyteczną,
Nie zaś zawadą wśród życia zbyteczną.

Joanna Feliksa.

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej.

(Dalszy ciąg).

Rozdział XXII.

W godzinę później Stanisław już był u Jana w hotelu, w którym stanął zaraz po przybyciu do Warszawy.

— Cóż braciszku? zawołał zobaczywszy go wyglądającego przez okno. Przyglądasz się naszej kochanej Warszawce?

— Czekając na ciebie nie miałem co lepszego robić.

— Bardzo pięknie, czas to pieniądz, nie należy go też bez pożytku marnować. Warszawa nie wasze zapadłe wioski odgrodzone od świata jakby murem chińskim. Tu gwar, życie, postęp na każdym objawiają się kroku...

— Oh! to prawda, u nas taka cisza, tak do niej przywykłem, że przez całą noc prawie na chwilkę zasnąć nie mogłem i zaledwie nad ranem cokolwiek się zdrzemnąłem.

— Wierzę temu, ale po kilku dniach nawykniesz i tak się zrośniesz z naszym miejskim trajkotem i gwarem ulicznym, że bez niego już ci będzie tęskno. U was na wsi cisza bo żyjecie jak ślimaki w skorupie, nic więcej nie widzące tylko łodygę po której wspinają się za pożywieniem. Ja póki na wsi mieszkałem byłem takim oślątkiem, że dziś sam się nieraz uśmieję ze swego zaściankowego głupstwa. W Warszawie w pół roku stałem się innym takim jakim mnie dziś widzisz, i takim zrobię ciebie, że jak wrócisz do zapadłej nory wiejskiej pomiędzy starych szlagonów i młodych gulonów, roztworzą gęby jak wrota i wielkim głosem zawołają. a, a, a!

Jan uśmiechnął się zadowolony, Stanisław mówił dalej:

— Trzeba tylko nabrać więcej śmiałości, pewności i stanowczości, i rąbać słowami jak pałaszem, żeby poznano że znasz świat, ludzi, wszystko co powiedziano, pomyślano i wysmażono w tyglach naukowych zwanych głowami uczonych...

— Otóż to będzie podobno najtrudniejsze...

— Ba, ba, ba! nie święci garnki lepią. I mnie się tak z początku zdawało, ale jakem przerzucił jedną książkę i drugą, przepatrzył niektóre artykuły które nic nie szczędząc ani nikogo, wykazują jak na dłoni, że wszystko co przeszło było głupstwem wierutnem a ci co do niego ręki przykładali osłami pierwszej mody, zrozumiałem odrazu że dyabeł nie taki czarny jak go malują, i że to co poznałem aż nadto mi wystarcza abym umiał się w świecie obracać i potrafił tak starać się żyć aby mi było dobrze.

— Jakże ci zazdroszczę, z westchnieniem odrzekł Jan. U nas na wsi tak trudno o to wszystko. Starzy nudni a młodzi tacy jacyś...

— Pal ich sęk! przerwał Stanisław, rozbrat z nimi zrobisz stanowczy i przedzierzgniesz się w zupełnie innego człowieka. Na początek zapoznam cię dziś z memi szlafkamratami. Dobre to chłopcy, goli wprawdzie jak tureccy święci, ale jeden wypłynie na wierzch, a drugi choć tego nie dokaże, ale jakoś zawsze da sobie radę.

Będziemy razem mieszkać z obopólnym wszystkich pożytkiem. Maciuś będzie naszą gospodynią a Mieczysław twoim przewodnikiem. Głowa to nielada, czasami choruje na uczonego, ale paroksyzmy te jak miną to jest z nim o czem pomówić. Wiadomości ma mnóstwo, zajmuje się literaturą, w domu lubi szlafroczek i gdyby nie to że zakochany po uszy i ma się żenić, toby i wieczorami nie opuszczał mieszkania. Będziesz więc miał z kim rozmawiać, ja bowiem zajęty tysiącami interesów, często raniutko wybiegam z domu i zwykle nie wracam aż po północy. Samemu więc byłoby ci przykro a w pierwszych chwilach byłbym bardzo niespokojnym, gdybym cię zostawił bez jakiegoś przewodnika. W Warszawie jak w każdem większem mieście, jest tyle oszustów, tylu wydrwigroszów, że nieraz wytrawnemu facetowi trudno ustrzedz się ich sideł, cóż dopiero tobie wydobytemu świeżo z powijaków rodzicielskich i opieki zacnego opiekuna co cały swój majątek dla ciebie przeznacza. W naszem towarzystwie ustrzeżesz się tego, nie znajdziesz ani szulerstwa, ani hulatyki, ani wyzyskiwania, bo Mieczysław zajęty tylko nauką i przyszłem ożenieniem a Maciuś łataniem potrzeb dnia dzisiejszego mało dbając o jutro. W takiem otoczeniu zyskać możesz wiele a nic nie stracić.

— To mnie cieszy niewymownie, będę spokojny..

— Tak, tak, jak kwoka, wysiadująca kurczęta, którą karmią i strzegą od wszelkiej przeszkody. Później poznam cię z naszą młodzieżą, a przedewszystkiem z Łepakiem, który gdyby miał głowę nie łeb, toby światem rządził taki ma spryt do robienia pieniędzy. Potem poznam cię z Głowaczem, co ma głowę jak Salomon ale mu brak łba Łepaka naszpikowanego sprytem jak zając słoniną. Poznam cię także z Filozofem kwaśnym jak cytryna a gorzkim jak piołun, wszystko widzącym czarno ale złotoustym jak Chryzostom a znającym rzecz każdą jak Arystoteles. Są to nasze świeczniki; jakby słońca, około których obraca się tłum naszej młodzieży prawdziwie postępowej. Jest jeszcze jeden Bolesław mający mir w niewielkiem kółku swoich przyjaciół, ale to jakaś zagadkowa figura, niezmiernie tajemnicza, zwany zwykle Dziwakiem podobnym do zepsutego jajka, które mimo pozoru zdrowego wstręt obudza i obrzydzenie. Niegłupi, pełen ognia i zapału, mówi niby rozumnie ale każde słowo jego pleśnią trąci. Rozprawa z nim niezmiernie nużąca, podchwytliwa, zaczepna, nie lubię go ale tajemniczość jaką się okrywa zaciekawia i żeby nie wiem co poznać ją muszę, bo kto wie czy pod nią nie ukrywa się jaka gorsząca awanturka. Byłoby to dla nas ubliżającem, poznam cię z nim, a teraz chodźmy bo czekają na nas nasi towarzysze.

Jan idąc przez ulicę, jako pierwszy raz będący w Warszawie, przyglądał się ciekawie wszystkiemu, szyldom, wystawom sklepowym, powozom i dorożkom, a Stanisław go naglił o pośpiech i przestrzył aby nie rżnął gapia, z którego każdy łatwo pozna że jest przybyszem z zatraconego kraju.

— Przypatruj się przechodzącym kobietom, dodał w końcu, ale szyldom i wystawom daj pokój. Wprawdzie i między kobietami znajdziesz tu wiele z szyldem niewinności a z dyabłem za pazuchą, ale przypatrywać się im nie szkodzi nawet dobrze jest uważane.

Znam ich bardzo wiele i ciebie z nimi zapoznam, bo to najpewniejszy środek oskrobania się z ptaszęcej niezdarności, która wszędzie widzi tylko róże i fijołki a pokrzyw i ostów nigdzie nie dostrzega...

— Stryj powiedział, że Warszawianki to bardzo niebezpieczne, odezwał się Jan, i kazał ich unikać jak ognia....

— Stryj, mój drogi, zacny człowiek skoro cię zrobił swoim sukcesorem, ale stary zaśniedziały zacofaniec. Unikać jak ognia Warszawianek, to czysta waryacya! Być ostrożnym to rozumiem, ale unikać, to zupełnie jakby powiedzieć wygłodzonemu, nie jedz! gdy mu ze smacznej pieczeni woń do nosa dolatuje. Patrz, ot ta co przed nami drepcze zgrabnemi nóżkami ledwie ziemi dotykając. Jaka śliczna figurka, jakie zgrabne ruchy! Weźmy się pod ręce a przypatrzymy się jej lepiej.

Stanisław ruszył naprzód, ciągnąc za sobą Jana wpatrzonego zapalczywie w nóżki przechodzącej kobiety.

Wkrótce zrównawszy się z nią, śmiało przekrzywił głowę, wpatrzył się w twarz przechodzącej i mijając rzekł głośno:

— Zawiodłem się, nóżka obiecywała buziaczka świeżego jak pączek, a to widzę jakiś pantofel podstarzały.

Jan trącił go szepcząc żeby nie mówił tak głośno.

— A to dlaczego?

— Może usłyszeć...

— A i cóż wielkiego?

— Toć przecie niegrzecznie...

— Oh! ty parafianowiczu, mnie chcesz uczyć jak mam postępować z kobietami! Toć przecie nie wasze gąski co umieją tylko jak kaczki kwakać: tak, tak, tak! a ja nie wół zdatny tylko pod bicz lub pod nóż rzeźniczy.

Idąca nieznajoma dama przystanęła na mostku, powóz z końmi w ładnej uprzęży podjechał ku niemu, lokaj wygalonowany otworzył drzwiczki, pani wsiadła, furman ruszył lejcami i powóz potoczył się środkiem ulicy.

— A tom się złapał, mruknął Stanisław. Jakaś dama z wyższej arystokracyi a ja ją wziąłem za zwyczajną przepiórkę. Omyliłem się, mogę na tem grubo stracić, bo bogaczom pieniędzy nie brak i zawsze coś z siebie dadzą uskubać, a ja takich szanuję, bardzo szanuję. Pieniądz to potęga!

— Zdaje mi się jednak mój Stasiu...

— Co? Nie wierzysz? przerwał Stanisław. Kocham cię perło naiwności. Za parę miesięcy pogadamy o tem, teraz jesteś jeszcze jakby oczadzony przesądem przeszłości.

Jan zmilknął, każdy zwrot do starych wyobrażeń, do przesądów, kłuł go boleśnie w najdrażliwszą stronę. Pragnąc na gwałt zmienić się, choćby dziś jeszcze, jak w młynie dyabelskim przedstawień cyrkowych, na każdy podobny przytyczek mieszał się i rumienił, bo zaraz przypominał sobie wszystkie upokorzenia przebyte i konieczność pozbycia się powodów do tak przykrych prowadzących następstw.

— Kto to jednak jest ta dama, odezwał się Stanisław, tak niefortunnie przeze mnie skrytykowana? Gdzieś ją już znam, gdzieś ją widziałem, a przynajmniej ten powóz nie pierwszy raz spotykam. A! otóż i przypominam sobie, widziałem go stojącego na rogu ulicy jak szedłem do Bolesława, że też nie spytałem się do kogo należy.

Idąc dalej i ciągle rozprawiając, Stanisław nagle zatrzymał się i wskazując na powóz, ten sam co już zwrócił ich uwagę, stojący na środku ulicy, rzekł:

— Kto to tam stoi przy powozie i rozmawia z siedzącą w nim damą? Z tyłu mężczyzna ten tak podobny do Bolesława, że przysiągłbym że to on. Podejdźmy bliżej.

Ale w tej chwili mężczyzna stojący przy powozie, nie oglądając się wszedł do środka, lokaj drzwiczki zatrzasnął i powóz ruszył dalej.

— Dziwne podobieństwo! szepnął Stanisław. Czyżby tajemniczy Bolesław miał stosunki z damami wielkiego świata? Istotnie, zazdroszczę mu tej znajomości.

Młodzi szli dalej, Stanisław z jednem zawsze natręctwem przyglądał się przechodzącym kobietom, Jan z zajęciem nieznanem mu przed tem, nie zważając już ani na szyldy ani wystawy sklepowe. Zmiana ta nie uszła uwagi Stanisława, roześmiał się wesoło i uderzając Jana w ramię rzekł z zupełnem zadowoleniem:

— Mój Janku, prędzej przenicujesz się na Warszawiaka niż przypuszczałem. W przejściu tylko przez kilka ulic a pozbyłeś się śmiesznego gapiostwa wiejskiego, zwracając oczy w punkt właściwy, bez którego życie nie warte byłoby i szeląga.

— Ale bo te Warszawianki to takie zgrabne i ponętne...

— Dzielnyś chłopusiu, przerwał Stanisław, tylko ostrożnie, beze mnie ani kroku. Pamiętaj!

— Bądź spokojny.

Wtem Jan uchylił kapelusza, Stanisław obejrzał się:

— Czy spotkałeś jakiego znajomego? zapytał.

— Nie, Stasiu.

— A komuś się ukłonił?

Jan zmieszał się i odezwał cichym głosem:

— Przed kościołem około którego przechodziliśmy.

Stanisław podniósł ramion.

— Przecieć kościół to miejsce święte, mówił dalej Jan z wielką nieśmiałością, a w nim mieści się...

— Ah! dajże pokój teologicznem rozprawom, przerwał Stanisław z oburzeniem, jam nie penitent a ty nie kaznodzieja, abyśmy się podobnemi sofizmatami zabawiali. Warszawa nie puszcza wiejska przesiąknięta zabobonami średniowiecznemi, dla tego z podobnem czapkowaniem przyczaj się, jak równie z owem wyprzysiężeniem się wódki, bo to mogłoby cię ośmieszyć i narazić na szyderstwo i lekceważenie które ci już dobrze dogryzło.

— Oh! z westchnieniem mruknął Jan.

— Możesz wódki nie pić, nie tknąć się żadnego napoju, mówił dalej Stanisław, ale przysięgać, czyste szaleństwo. Podobnie stare naleciałości to wymysły głów pustych nie mogących i kroku ruszyć bez jakiejś podpory jak chorzy bez laski. Dzisiejsza nauka co wyrozumowała w to każe wierzyć a resztę odrzuca jako majaczenia starych niedołęgów.

Jan słuchając dziwił się uczoności krewniaka, ale czuł zarazem że go coś rozstraja, obudza jakieś zaniepokojenie wewnętrzne nieznane mu przedtem. Milczał jednak, bo dotąd umiał tylko słuchać ale rozprawiać jeszcze się nie nauczył, Stanisław zaś tak był stanowczy w dowodzeniu, że nawet nie przypuszczał iż można mu się sprzeciwić.

Przechodząc koło jednej z wystaw wekslarskich, w której pełno złotej i srebrnej monety rozrzuconej było pomiędzy papierami wielkiej wartości, zobaczyli stojących Wojciecha oryla z młodymi dwoma flisakami, znanymi z zajścia na tratwie którą Jan przybył do Warszawy. Młodzi z przyłożonemi głowami do samej szyby, patrząc chciwie na nieznane sobie skarby rozprawiali wskazując palcami. Wojciech stał za nimi, przyglądał się także ale z daleko mniejszą ciekawością nagląc do odejścia.

— Patrz, nasi znajomi, odezwał się Stanisław. Zatrzymajmy się chwilkę, bawią mnie ich gapiowate miny, a radbym się dowiedzieć o czemteż rozprawiają.

— Ej! nie naglijcie, mówił jeden z flisaków Janek, niechże się choć napatrzymy takiemu bogactwu. Mnie jeszcze nawet przed oczami tyle się pieniędzy nie przemknęło co tu widzę za oknem. I czy to są one tylko jednego?

— Jużcić zapewne jednego, odparł drugi Józek. Ej! żeby dostać z nich choć garstkę.

— Ale, da ci zapewne, grosz to rzecz łakoma ma go to dla siebie, a nie do rozdania.

— Żeby to były moje, tobym je nie trzymał za

oknem na oku ludzkim, odezwał się Józek, alebym używał coby mi tylko w oczy wpadło.

— Ale w Warszawie jest się czemu napatrzeć, bogactwo ino kipi kaj tylko rzucić okiem, a co się spotka kogo to każdy na pana patrzy.

— A bo tu wszyscy panowie...

— Tu i zarobek łatwy, a o dorobek pewno nietrudno, odrzekł Janek z westchnieniem, nie tak jak u nas na wsi, co człowiek pracuje i pracuje i nic wypracować nie może. Żeby jako można jabym i dziś został w Warszawie i nie wrócił już na wieś aż z dobrym dorobkiem.

— A to zostańwa, albo to nas żyd kupił czy co?

— Nie wypada kiedyśmy się z nim ugodzili. Wojciech mówił, że mogliby nas ściągnąć przez policyą.

— No to wracając zatrzymamy się w Warszawie, a teraz chodźwa bo Wojciech naglą...

Przez ten czas Stanisław wstąpił do sklepu za kupnem cygar i papierosów, a Wojciech rozmawiał z Janem, ciesząc się ze spotkania młodzieńca, którego przez czas podróży bardzo polubił.

— Nie spodziewałem się spotkać panicza, mówił po powitaniu, a w obcej stronie każdy znajomy to wielka uciecha. I ja miałem zostać w Warszawie po jednym interesie, ale jak krewniak panicza nagadał naszym młodym orylakom na tratwie różnych niepotrzebnych wymysłów, tak jakoś potem shardzieli, że chcieli odbić do skarbówki pisarza. Ledwom ich uspokoił, ale muszę z nimi płynąć dalej, bo pisarz prosił mnie żebym go nie odstępował.

— A cóż mój brat mógł takiego nagadać na tratwie? zapytał Jan. Przecieć ich nie namawiał do rabunku.

— Jużcić nie namawiał, ale to dzieciarstwo jeszcze z krótkim rozumem, to im łatwo w głowie przekręcić. U krewniaka panicza to nie ma nic świętego, wszystko poniewiera że aż cierpnie skóra i tylko dla jednego grosza ma poszanowanie.

W pierwszej chwili mignęło na twarzy Jana jakby zniechęcenie, jakby pobłysk prawdy pragnącej zajaśnieć wielkiem światłem i przejąć całą jego istotę, ale wprędce odrzucił te podszepty ducha, zapłonął i uznał się malutkim w obec wiedzy swego krewniaka, której choć nie znał ale się domyślał.

— Nie zrozumieliście go zapewne, rzekł po chwili. Stanisław, to rozumny bardzo człowiek... bez przesądów, bez...

— Nie paniczu, przerwał Wojciech potrząsając głową, za jego rozum nie dałbym i niucha tabaki, i bodajem nie wyrzekł w złą godzinę, ale krewniak panicza choć taki hardy ale źle skończy. Ze złych myśli złe się rodzi, ale co mam sobie głowę tem zaprzątać. Za powrotem radbym się z paniczem zobaczyć, a teraz muszę z mojem młodziarstwem iść dalej, bo przecie od okna odeszli i tylko oglądają się za pieniędzmi jak ciele za owsem.

Wieśniacy gapiąc się i oglądając poszli dalej, Stanisław wziął pod rękę Jana.

— Kiedy sobie przypomnę, rzekł, z jakim smakiem ta gawiedź chłopska przypatrywała się wystawie wekslarskiej, śmiałem się z ich min apetycznie głupich. Widać że się w nich pragnienie złota rozbudziło: to dobrze, bardzo dobrze. Gdy chłopi otworzą worki i zapragną wygód przedtem sobie nieznanych, przemysł narodowy wzmoże się a naród cały zbogacieje. Wtenczas łatwiej u nas będzie o dukata jak dziś o złotówkę.

W domu zastali Mieczysława i Maciusia już gotowych do wyjścia. Przedstawienie odbyło się bardzo prędko, Stanisław w wybornym humorze, żartował, śmiał się, weselił.

— Oto Mieczysław, rzekł, pełen nauki jak biblioteka bez książek, a to Maciuś sławny prawnik bez klijentów. Mieczysława dla cienkości szyi nazywamy *Żyrafką*, Maciusia dla pulchności *Paczkiem*, a mnie dla latania za domem *Lampartem*. Ponieważ mamy stanowić nierozerwaną czwórkę, dla harmonii z nami nazwiemy ciebie Jasiu... ale nazw podobnych nie tworzy się na zawołanie, przychodzą same jak głód albo pragnienie. Ochrzcimy cię więc później, może dziś jeszcze, bo bez przydomku zostać nie możesz, a dostaniesz go na jaki sam zasłużysz. Dziś moi panowie zapraszam was na małą a przyzwoitą pohulankę. Wstęp brata mego w świat mu nieznany, musimy uczcić jak przynależy.

(*d. c. n.*)

WIEDEŃ I ŻYCIE WIEDEŃSKIE.

PRZEZ

Wiktora Tissot.

(Autora słynnej „Podróży do kraju miliardów“.)

Streszczone przez J. B.

(Dalszy ciąg).

X.

Wszystkie starożytne pałace wiedeńskie mają jednostajny pozór, podobne są do koszar lub do klasztorów; nie ma tu wspaniałych pomników architektury, wszystko przypomina czasy wojen i niepokojów. Wszędzie widać tylko nagi kamień, pokryty jakąś zakopconą powłoką; nie ma ani krat pięknie odrobionych, ani ogrodów roztaczających się nęcące oko klomby, ani galeryi z wysoką kolumnadą, wszędzie tylko bramy i drzwi przypominające fortece lub więzienia.

Pałac cesarski, zwany Burgiem, jest to prosta mieszanina różnorodnych budowli żadnego nie przedstawiających stylu, połączonych z sobą dziedzińcami. Pomimo to ciężkie jego mury przedstawiają się daleko poważniej i wspanialej niż świeżo zfabrykowany pałac cesarski w Berlinie, podobniejszy do willi jakiegoś spanoszonego handlarza niż do rezydencyi monarszej. Po nad Burgiem unosi się jakiś cień wielkich wspomnień, mury te zdają się mówić o pełnej chwały przeszłości.

Burg był kiedyś otoczony szańcami i obronny wieżycami, mosty były zwodzone a bramy najeżone ostremi kolcami. Książęta austryaccy rezydowali pierwotnie na górze Kahlenberg, zkąd panowali nad piękną i urodzajną doliną Dunaju. Wiedeń powstał gdy zamieszkali w pałacu wzniesionym nad brzegami rzeki. Nowa stolica stała się wielkim składem towarów przywożonych ze Wschodu lub tamże przeznaczonych; odgłos młotów mieszał się z powietrznemi dźwiękami dzwonów, obok klasztorów z których cicha wznosiła się modlitwa, rozlegał się wesoły śpiew pracujących w warsztatach. Wtem pewnego dnia w całem mieście rozległy się wesołe okrzyki, na ulicach powiewały chorągwie, cała ludność wyległa na szańce; cesarz Fryderyk odbywał wjazd do Wiednia który ogłosił wolnem miastem. Postanowił prawo mocą którego tylko obywatele mogli sądzić obywateli, sądy wybieralne odnawiane corocznie i nareszcie cesarz założył szkołę, zawiązek przyszłego uniwersytetu. Ale po śmierci Fryderyka, wojna domowa szarpała Niemcy. „Niedźwiedzie niemieccy, zawołał wówczas pewien kardynał w Rzymie, kłócą się i biją tam z sobą w poza-alpejskich lasach, niech się gryzą i szarpią, nie będą nam dokuczać.“ Wojna ciągnęła się przez lat dwadzieścia trzy, aż do dnia w którym Rudolf Habsburgski wyruszył z gór szwajcarskich, aby zbudować swe gniazdo cesarskie w wiedeńskim Burgu.

Rudolf był sobie małym bardzo pankiem a zgliszcza jego pałacu sterczą po dziś dzień na drodze z Zurychu do Bazylei. Legenda podaje że nie raz wracając z polowania sam łatał swe dziurawe obuwie. Pewnego dnia, uganiając się za dzikiem w oddalonej dolinie, spotkał nad brzegiem strumienia który skutkiem deszczu rozlał się bardzo szeroko, księdza idącego z wiatykiem, który przejść nie mógł przez tak głęboką wodę i nie wiedział co począć. Zobaczywszy go, Rudolf zeskoczył z konia i prowadząc go za uzdę rzekł do kapłana:

Ojcze, wsiądź na mego wierzchowca, inaczej nie przejdziesz przez strumień, koń mój tyle już razy śmierć roznosił po tych lasach, niechże raz poniesie życie i nadzieję.

Kapłan przyjął szlachetną ofiarę, gdyż nadzwyczaj śpieszył się do chorego, a gdy przejechał strumień obejrzał się, Rudolf klęczał u stóp dębu modląc się za umierającego.

Ksiądz powrócił niezadługo i chciał oddać mu wierzchowca, ale Rudolf nie zezwolił na to.

— Nie zsiadaj z konia, mój ojcze, zatrzymaj go i niech służy do posług religijnych, ja już nie godzien jestem jeździć na rumaku który przed chwilą wiózł P. Sakrament.

Nazajutrz Rudolf zwiedzał opactwo Fahr i tam spotkał się z sędziwą zakonnicą, siostrą Bertą, ta pozdrowiła go mianując cesarzem.

— Co mówisz, siostro? zapytał patrząc na nią zdziwiony.

— Mówię że spełniłeś wczoraj szlachetny i święty uczynek, w nagrodę którego ty i twoi potomkowie zasiadać będziecie na cesarskim tronie.

— Niech się stanie wola Boża, Jego powierzam się opiece, odrzekł Rudolf.

We dwa lata później spełniła się przepowiednia siostry Berty: Rudolf, zalecony przez papieża który cenił jego cnoty i pobożność, przez książąt niemieckich obrany cesarzem odbywał uroczysty wjazd do Wiednia.

Za panowania syna jego, Alberta Austryackiego, kantony szwajcarskie zbuntowały się skutkiem ucisku wywieranego przez rządców: Gessler został zabity przez Tell'a na krętej drodze do Altorf, a Alberta zasztyletował własny jego siostrzeniec, w bagnach Reussy. Wtedy na przedstawienie arcybiskupa Trevizańskiego wybrano cesarzem przyjaciela jego i krewnego zarazem, księcia Luxemburgskiego, i ten przeszedł Alpy na czele swojej armii. O nim to Dante mówi w swoich wierszach:

„Widziałem cię, o rycerzu! pełen zarazem wdzięku i majestatu; ręce moje dotykały nóg twoich, a dusza moja wznosi dla ciebie hymn tryumfu.“

Henryk VII umarł otruty fałszywą hostyą, jakiej udzielił mu zabójca przebrany za zakonnika: „Morderco! zawołał umierający cesarz, zadałeś mi śmierć w postaci chleba wiekuistego życia, uciekaj co prędko abyś uniknął zemsty moich poddanych.“ Za panowania Alberta II i Fryderyka III potomków dynastyi luxemburgskiej, Wiedeń najeżony był stosami; w 1620 r. sześciuset żydów spalono tam żywcem. Fryderyk III z kombinacyi pięciu samogłosek ułożył sobie frazes łaciński mający oznaczać „że cały świat należy do Austryi“ obrał go sobie za godło i kazał wyryć na wszystkiem co go otaczało, na meblach, na srebrze, na broni swojej, na uprzęży, na obrożach psów dworskich, na murach pałacu, na pniach drzew parku i t. d. Maksymilian znowu całe życie przesiedział w Burgu, poszukując

kamienia filozoficznego, za pomocą którego mógłby wyrabiać złoto i brylanty.

Całe dzieje dynastyi austryackiej wiążą się z tym pałacem i fortecą zarazem, w którym przechowują dotąd, jakby spodziewając się że wróci jeszcze dawna pomyślność i chwała, dawne insygnia godności cesarskiej, koronę, kulę ziemską uwieńczoną krzyżem i berło z orłem.

Skarbiec cesarski dwa razy w tydzień otwarty dla publiczności, chcąc go zwiedzić trzeba tylko w przeddzień zażądać w biurze Skarbca biletu wejścia. Przed drzwiami co chwila przesuwa się rój kobiet, które nęcą ku sobie klejnoty i kosztowności, podobnie jak kwiaty przywabiają motyle. Nareszcie uderza godzina, ciężkie drzwi zaskrzypią na zawiasach jak drzwi do skarbca Haarun-al-Reszyda, i rozlega się ogolny okrzyk podziwu i uwielbienia i zachwycony wzrok błądzi po witrynach po za któremi przepyszne brylanty i klejnoty błyszczą jak słońce, olśniewają jak błyskawice. Możnaby pomyśleć żeśmy się dostali do kopalni Golkondy lub do promieniejących nadziemskim blaskiem podziemi Aladyna. Wszystkie te blaski i różnobarwne ognie zlewają się w harmonijną jasność, jakby widzianą przez pryzmat marzenia. Mamy przed sobą całe stosy drogich kamieni, niezliczoną ilość brylantów, topazów, rubinów, szmaragdów, tworzących przepyszne bukiety kwiatów i promieniejące gwiazdy. Oto korona której używali arcyksiążęta Austryaccy udając się na koronacyą do Frankfurtu; jest ona wyrobiona z najczystszego złota, przyozdobiona płasko osadzonemi brylantami, perłami i rubinami, i kosztowała 700,000 talarów, co na owe czasy szaloną stanowiło sumę. Jabłko berła cesarskiego jest także wysadzone dyamentami, perłami i rubinami, a samo berło szczerozłote a na niem monogram cesarza Mateusza, który koronował się w 1612 r. Brylantowa korona cesarzowej, kosztowała 1,500,000 guldenów; przepychu jej słowem ani piórem opisać niepodobna. Order Złotego runa, z barankiem wysadzonym brylantami; królewsko-węgierski wojskowy krzyż Maryi-Teresy; order Leopolda, którego wielki krzyż nadaje godność kuzyna cesarskiego, komandorom tytuł barona, a prostym kawalerom dziedziczne szlachectwo. Przepyszne garnitury ze szmaragdów i z rubinów, naszyjniki z róż brylantowych, śpilki do włosów z trójkątnemi w liczne kanty rżniętemi soliterami, kolczyki, sprzączki szmaragdowe, guziki topazowe osadzane brylantami, drogocenne garnitury perłowe, brosze, bransolety, fermoary, medaliony, tworzą ten bogaty skarbiec prywatny domu cesarskiego. Możnaby myśleć że oglądamy klejnoty jakiegoś króla indyjskiego, syna słońca i gwiazdy, blask kamieni aż oślepia.

Relikwie i klejnoty Świętego Państwa Rzymskiego zapełniają szafy oddzielnej sali i stawiają przed oczy najświetniejsze dzieje Austryi. Po nad koroną cesarską, umieszczona jest nadzwyczaj kosztowna emaliowana figura Syna Bożego w pełni swej chwały, z napisem: *Per me reges regnant* (przezemnie panują królowie). Mówią że znajdująca się tu księga Ewangelii, na której obrany cesarz wykonywał przysięgę, znaleziona była przez cesarza Ottona III na kolanach Karola Wielkiego, w grobie jego w Akwizgranie. Księga ta, oprócz Ewangelii zawiera jeszcze kodeks praw pisanych złotemi literami, na kartach pargaminowych pomalowanych na fijołkowo. Wspaniały płaszcz koronacyjny miał być wykończony w Sycylii przez artystów saraceńskich, w r. 1133. W około wyhaftowany jest złotem napis arabski. Dalmatyka purpurowa haftowana w wielkie złote arabeski, oszyta jest podwójnym rzędem pereł. Stuła żółta jedwabna haftowana złotem, zdobna jest medalionami z orłami cesarskiemi, wyrabianemi czarno, na złotem tle; pas utkany jest ze złota i jedwabiu; rękawice jedwabne czerwone, naszywane drogiemi kamieniami, haftowane w desenie w stylu romańskim, i w orły jednogłowe; pończochy jedwabne czerwone w złote arabeski, na jedwabnych także trzewikach, błyszczą dwa rzędy pereł, medaliony, kwiaty lilii i ptaki ze złotem upierzeniem.

Stroje heroldów mieszczą się w dwudziestu pięciu szafach, obok mieczy których monarchowie używali do koronacyi i inwestytur wassali, naczyń srebrnych i złotych, chrzcielnic i cudownie pięknych wyrobów z kryształu i jakby zadymionych topazów i najrozmaitszych przepysznych klejnotów niezrównanej piękności i blasku. Tu promienieją i lśnią się poświętniki z jednej wyrobione perły, że skrzydłami złotemi emaliowanemi artystycznie i wysadzanemi rubinami; tam wychyla się głowa lwa także wyrobiona z wielkiej perły z dyamentowemi oczami; to znowu baranki, zające, żółwie, konie, jelenie, smoki, słonie, wyrabiane z pereł.

Równem bogactwem zaleca się kolekcya zegarków, zegarów i automatów. Prześliczne tu są zegarki w kształcie książki, gwiazdy, krzyża, trupiej głowy, poruszanie i uderzanie szczęki wyższej o niższą oznacza i wybija godziny. Z pomiędzy zegarów automatycznych, odznacza się szczególniej przedstawiający Centaura na grzbiecie którego siedzi Dyanna; tuż obok dwa psy biegają wśród krzaków po ziemi zasłanej gadzinami. Gdy mechanizm jest wprawiony w ruch, Centaur wypuszcza strzałę, Dyanna z zadowolnieniem porusza głową, psy skaczą otwierając paszcze a gadziny się poruszają. Inny zegar ma kształt tureckiego okrętu; z tyłu jest skrzynka w której mieści się mechanizm a na wierzchu indeksa wskazujące godziny i minuty; gdy zegar jest nakręcony, wioślarze poruszają wiosłami, komendant turecki wyciąga szablę, a małpa siedząca na rudlu, porusza łapami.

Nie chce się wyjść z tego zaczarowanego skarbca, w którym zdaje się że wszystko żyje, patrzy i tajemnicze jakieś snuje myśli.

Jak królewski pałac w Berlinie, tak i cesarski Burg w Wiedniu ma swoją legendę; złowieszcze widmo, Biała-Dama, ukazuje się tam w przeddzień wielkich nieszczęść. W dziejach starego pałacu jest wzmianka o innych jeszcze widmach, których jednak dziś nikt się już nie lęka.

Codziennie, w południe, muzyka wojskowa rozwesela swojemi dźwięki posępne mury cesarskiego pałacu; koncerta te stanowią jakby wstęp muzykalny przed wielkiemi popołudniowemi koncertami, które stanowią jeden z największych powabów Wiednia dla Wiedeńczyków. Podczas gdy żołnierze gwardyi stoją pod bronią, muzyka stoi w koło przed wysokiemi drewnianemi pulpitami, wygrywa marsze, walce, pots-pourri, i zawsze zbierze się tam paręset słuchaczy stojących lub przechadzających się około posągu Józefa cesarza Franciszka, przedstawionego w postawie stojącej i błogosławiącego swój lud. Obrudzeni ci i w podartem obuwiu słuchacze, są to wiedeńscy lazaroni. Ręce trzymają w kieszeniach a w ustach żują kawałek niedopalonego podniesionego na ziemi cygara, całe dnie spędzają na ulicach, biegając gdzie się odezwie muzyka: śniadania nie jadają zwykle, na obiad zjedzą kiełbaskę i kawałek chleba, na wieczerzę posilą się jakiemiś resztkami gdzieś w kuchni w zamian za posyłkę załatwioną dla pani, lub za jakąś przysługę oddaną kucharce.

Dwa razy do roku, w wielki piątek i w dzień Bożego Ciała wnętrze Burgu staje się widownią wspaniałej uroczystości, jakie w średnich wiekach odbywały się w kościołach, a dotąd z całym przepychem i wystawnością obchodzone są w Wiedniu.

W wielki piątek wystrzały armatnie dają znać o wyjściu procesyi; wysuwa się ona zwolna z pod portyku przystrojonego aksamitnemi firankami, oszytemi złotą frendzlą i takiemiż kwastami; trąby odzywają się, żołnierze w galowych mundurach, z liściami dębowemi przy szako, tworzą szpaler z obu stron drogi; tłumy cisną się wzdłuż murów a na balkonach i oknach widać głowę przy głowie. Pochód rozpoczyna się tak wspaniale i uroczyście jak owe procesye świętych malowane na gotyckich szybach starych katedr. Najpierw postępuje kler w bogato haftowanych, śnieżnej białości komżach, mocno odbijających od czarnych sutann; dalej giermkowie w czerwonych, złotemi galonami naszytych szatach, paziowie ze ślicznemi twarzyczkami w atłasowych kurtkach; lokaje w krótkich pantalionach i w czerwonych sukniach; strzelcy ubrani czarno i niebiesko; otyli kucharze i podczaszowie z czerwonemi nosami. Po służbie dworskiej, idą w galowe przybrani szaty bijący w kotły, muzykanci cesarskiej kapeli ze szpadami przy boku, potem znów nowi paziowie mający na piersiach herby cesarskie, szambelanowie ze złotemi kluczami, kawalerowie zakonu teutońskiego w ogromnych płaszczach; magnaci w futrach, w butach przystrojonych, w czapkach z dyamentowemi kitkami, z krzywemi szablami, przedstawiający się wspaniale jak magowie. Monstrancya, którą niesie arcybiskup otoczony dymem kadzideł, błyszczy jak słońce od rubinów i drogich kamieni, a gołąbek wyhaftowany srebrem, ze świecącemi białemi skrzydłami, odbija pięknie od czerwonego tła baldachimu, i zdaje się że żyje i porusza się w tej rajskiej atmosferze. Po za arcybiskupem, którego dalmatyka błyszczy bogatym haftem jak płaszcz byzantyńskiego cesarza, postępuje cesarz Franciszek-Józef, w jeneralskim mundurze; otacza go sztab główny, feldmarszałkowie i oficerowie, a za nimi maszeruje gwardya niemiecka w czerwonych, złotem lśniących mundurach i gwardya węgierska w błyszczących kaskach; na ramionach zarzucone skóry lamparcie, spięte są na piersiach klamrami z drogich kamieni. Świetny ten pochód zamykają heroldowie dmący w swe srebrne trąbki; drabanci z włóczniami, żandarmi pałacowi, w czarnych kaskach z czerwonemi kitami i straż dworska z halabardami. Wszystko to razem czarujący przedstawia widok. Ten przepych zarazem cesarski i kapłański, te szaty ponsowe i fioletowe, te dalmatyki i ornaty błyszczące złotem i kamieniami, te powiewne alby, te bogate mundury, okazałe pióropusze, ta mieszanina koronek, galonów, złota i klejnotów, te okazałe szaty i przybory kościelne, przesuwają się przed zdumionym wzrokiem jak nadziemskie widzenie.

Lud wiedeński lubi bardzo te wspaniałe uroczystości na które zbiera się tłumnie. W wielki piątek trudno bardzo przejść przez ulice, takie roją się na nich tłumy zwiedzających kościoły, ale kto wie czy ciekawość nie góruje nad pobożnością.

W niektórych kościołach dotąd przechowuje się zwyczaj palenia postaci przedstawiającej Judasza, na placu przed drzwiami głównemi. W wielki czwartek arcybiskup umywa nogi kanonikom i każdy z nich dostaje czarę wina hiszpańskiego. Dawniej urzędnicy i znakomite damy obecne na tym obrzędzie, takież czary składali w ofierze arcybiskupowi. Cesarz i cesarzowa przechowali także ten wzruszający zwyczaj swych przodków, i w wielki czwartek umywają nogi i obdarzają odzieżą dwunastu starców w jednej z sal pałacowych. Jest to nader patryarchalny i rzewny obrządek, przypominający wieki biblijne. Dwunastu siwowłosych starców

z białemi brodami, przyodzianych w pielgrzymie szaty, wchodzą do sali z wędrownemi kijami, a chwiejące ich kroki podtrzymują dzieci i wnuki; zasiadają na ławkach, a cesarz i cesarzowa przyklękają i gąbką myją im nogi. Następnie zasiadają do nakrytych stołów, cesarz i cesarzowa podają im potrawy, poczem cesarz daje każdemu mały woreczek napełniony złotem, wypytuje o ich rodziny, o ich potrzeby i rozmawia z nimi z ewangeliczną prostotą. Niepodobna pozostać obojętnym świadkiem obrządku, przypominającego symboliczne uczty Jezusa i słowa Jego wyrzeczone podczas wieczerzy.

(*d. c. n.*)

Korespondencya z Niemiec.

Kłopoty Niemiec. — Niedobór w budżecie. — Potrzeba nowych podatków. — Nędza i socyalizm. — Proces wytoczony ks. Bismark'owi. — Kobiety socyalistki. — Obchód weselny księżniczek. — Taniec z pochodniami. — Dziełko Maksa Bauera o fałszowaniu żywności. — *Historya naturalna kobiety*, przez Baerenbach'a. — *Historya naturalna dyabła* p. doktora Karsch'a. — *Podróż do Peloponezu* Fryderyka Wernick. — Muzyka w Berlinie i w Wiedniu. — Karnawał w Wiedniu. — Teatr. — Nowe Muzeum. — Jubileusz uniwersytetu w Tubindze. — *Święta rodzina* Knaus'a.

(Dalszy ciąg).

I rzeczywiście tak dzieje upłynionych wieków jak i państw konstytucyjnych, nie przedstawiają takiej ani nawet podobnej instytucyi; co najwięcej możnaby dopatrzeć niejaką analogią w przeszłości Hollandyi, porównywając cesarza Wilhelma, wojennego naczelnika państwa, do statudera trzymającego miecz, a kanclerza państwa do wielkiego pensyonarza, całą władzę dzierżącego w swej dłoni. Podobno kiedyś sam książę Bismarck zrobił to porównanie.

To też łatwo pojąć jak silne w całem państwie wywarła wrażenie, wieść o chorobie księcia, który rzeczywiście musiałby być żelaznym żeby mógł podołać takiemu nawałowi zajęć i kłopotów państwowych, do których łączą się i osobiste. Dotąd wytaczał procesa setkom dziennikarzy o osobistą obrazę, obecnie pojawiają się śmiałkowie poważający się zapozywać go przed kratki sądu. Skarżącym jest publicysta Diest-Düber, a powodem procesu papier sądowy pochodzący z biura kanclerza i czytany publicznie na posiedzeniu sądu, w jednym z ostatnich procesów prasowych wytoczonych mu przez kanclerza. Pan Diest-Düber uważa pismo to za szkalowanie i obelgę, a sądy uznały: iż skarga jest uzasadnioną i skarżącemu służy prawo wytoczenia procesu.

Pomimo środków zapobiegających socyalizm zastraszające w Niemczech przybiera rozmiary; na domiar złego agitacya socyalna coraz więcej krzewi się wśród kobiet, w publicznych zebraniach wyrabiają się przyszłe berlińskie naftciarki, które niezawodnie w danym razie nietylko dorównają, ale przewyższą paryzkie. Zebrania socyalistów coraz częściej miewają miejsce; wygłaszane na nich przemowy doprowadzają motłoch berliński do największego rozpasania, a cóż się stanie ze społeczeństwem gdy podobnie zgangrenowany żywioł wypowie mu walkę? Niedawno temu miało miejsce zebranie socyalistek kobiet i młodych dziewcząt, na którem znany Most przemawiał już nietylko przeciw kościołowi ale przeciw religii. Obecny na zebraniu pastor protestancki, Wangemann, zaprotestował przeciw wygłaszaniu podobnych teoryi, mówiąc iż pojąć nie może aby kobiety, chrześcianki, mogły tak pogańsko się odzywać. Pan Wangemann jest dyrektorem misyi protestanckich, Most rzekł mu gburowato: „że jako misyonarz powinien iść nauczać Hottentotów a ludzi ucywilizowanych zostawić w spokoju.“

Bez zaprzeczenia do takiego rozpasania przyczynia się bardzo straszna nędza gnębiąca biedną ludność. W przemysłowych okręgach Reichebach, Neurode, Glatz, Habelschwerdt i kilku innych, głód i tyfus dziesiątkują ludność. Dopokąd tak będzie, trudno przeszkodzić rozszerzaniu się socyalizmu, obiecującego polepszenie ciężkiej doli; jedynym zaradczym środkiem byłoby wytępienie bezwyznaniowości i obudzanie w masach poczucia religii, moralności, oraz zamiłowania pracy i oszczędności.

Radość i łzy, smutek i wesele, nędza i przepych „wszystko to dziwnie się plecie, na tym tu biednym świecie.“ W końcu lutego odbył się w Berlinie obchód weselny dwóch księżniczek pruskich, księżniczki Szarloty córki następcy tronu, z księciem Sax-Meiningen, i księżniczki Elżbiety, córki księcia Fryderyka Karola, z wielkim księciem Oldenburgskim. Na uroczystość tę zjechali król i królowa belgijscy, książę Walii i wielu książąt zagranicznych i niemieckich.

Na tydzień przed ślubem, w zamku królewskim wystawiono na widok publiczny wspaniałe wyprawy dwóch księżniczek: natłok zwiedzających, a szczególniej kobiet, tak był wielki, iż służba pałacowa musiała krążyć ciągle między publicznością i wołać że nie wolno przystawać, przez co nikt prawie nic nie widział, wszystko przesuwało się przed oczami jak w kalejdoskopie.

Po biesiadzie weselnej członków domu królewskiego, odbył się z całą wystawnością tradycyonalny i oryginalny zarazem ceremoniał zwany *Fackeltanz*, w Białej sali zamku cesarskiego. Na urzędowej liście tancerzy w pierwszem miejscu zamieszczony był cesarz i cesarzowa, dalej następca tronu i księżna Wiktorya, książę Walii, pięciu wielkich książąt następców tronu; szesnastu książąt i księżnych.

Taniec ten jest to rodzaj poloneza. Pierwszy *tour* tańczy tylko dwie młode pary, następny cesarz z dwoma oblubienicami, a za nimi postępuje dwunastu ministrów z zapalonemi pochodniami; trzeci cesarzowa z dwoma oblubieńcami; czwarty tańczył król belgijski i dwie panny młode i tak szło hierarchicznie koleją. Za każdym zwrotem ministrowie postępują za parami z pochodniami. Układ tego tańca należy do mistrza ceremonii, w którym prze-pysznie strojne pary przy odgłosie muzyki defilują przed galeryą. Ciekawy musiał być widok tych niemłodych już ministrów, jednych łysych, drugich otyłych, wykonywających pochód aż dwadzieścia dwa razy w około wielkiej sali. I książę Bismarck powinienby był należeć do tego ceremoniału, ale wymówił się słabością zdrowia.

Pod względem politycznym małżeństwa te królewskiej rodziny utwierdzają jeszcze przewagę Pruss w państwach związkowych; są to zdaje się preliminarya blizkiego przyłączenia się księztw Sax-Meiningen i Oldenburgskiego.

W dniu zaślubin już od rana niezliczone tłumy zaległy główną ulicę berlińską *Unter den Linden* a nad wieczorem gdy nowożeńcy powracali z kościoła, tłok był tak niesłychany iż można było prawie być narażonym na pokaleczenie lub nawet utratę życia. Korzystając z natłoku uliczni krajali nożami suknie, szale i okrycia ściśniętych w tłumie kobiet. Biedne drogo opłaciły przyjemność patrzenia na szybko przesuwające się bogate rzędy, liberye i powozy, bo siedzących w nich prawie niepodobna było widzieć. Już to w ogóle zabawy i figle berlińskich uliczników, nie odznaczają się bynajmnie dowcipem.

W jednej z przeszłych korespondencyi pisałem że fałszowanie żywności tak wielkie przybiera w Niemczech rozmiary, iż rząd i administracya municypalna mocno się tem niepokoją. Doktór prawa, Max Bauer, wydał o tym przedmiocie dziełko które wielki pozyskało rozgłos. Autor traktuje przedmiot wyczerpująco tak teoretycznie jak praktycznie, i nietylko wykazuje fakta ale zarazem podaje środki zaradcze. Samo zaprawianie mleka setki dzieci corocznie pozbawia życia w Berlinie. Max Bauer radzi aby prawo obejmowało nadzwyczaj surowe kary przeciw fałszerzom żywności; a rząd i gminy ze swej strony nader ścisły rozwinęły nadzór. Nadto producenci i konsumeuci powinniby utworzyć stowarzyszenie przeciw podobnym oszustom i trucicielom. Mówiąc o czynności i nadzorze władzy tak się wyraża: „Gdyby owe hufce urzędników z takim kosztem utrzymywanych po miastach, pod pozorem porządku i opieki, wytwarzały choćby najszczuplejszy kontyngens jednostek czuwających nad mleczarniami, aptekami, sklepami korzennemi, nad sprzedającymi mąkę, piwo, cukierki, czekoladę i wszelkie artykuły żywności, jakże to błogie wydałoby skutki! Niech nie dopuszczają sprzedaży mięsa z niezdrowego bydła, zabierają nadgniłe owoce, mąkę podprawianą gipsem, piwo skwaśniałe zręcznie podprawione, zaprawne mleczywo i masło, a daleko będą pożyteczniejsi, daleko większe ludności oddadzą przysługi, niż nie pozwalając dorożkarzom stawać w pewnych miejscowościach lub żebrakom żebrać po ulicach.

(*d. c. n.*)

Kronika paryzka

z życia społecznego; nauk, sztuk i literatury.

przez K. G.

(Dokończenie).

Prawdziwy paryżanin rzadko kiedy opuszcza miejsce swego zamieszkania. W niedzielę tylko dla świeżego powietrza zwiedza wioski okoliczne, a jeżeli kiedy pojedzie do kąpieli morskich to podobny wypadek stanowi epokę w życiu całej rodziny. Radby jednak widzieć bez wielkiego kłopotu ciekawsze miejscowości kuli ziemskiej, usłużny więc teatr przychodzi z pomocą zastępując dekoracyami rzeczywistość, aby dać jakiekolwiek wyobrażenie o najmniej przystępnych okolicach.

Tem jedynie można wytłomaczyć niesłychane powodzenie jakiego doznała sztuka Jules Verne'a *podróż na około świata.* Zaiste dekoratorowie paryzcy są niezrównani! Dzięki im poznaliśmy lasy dziewicze, spadek Niagary, tajemnicze obrzędy kapłanów indyjskich i ich świątynie, zamki wysadzone w powietrze, co jak wiadomo było powodem spalenia gmachu opery. Po przedstawieniu nareszcie dna morskiego, zdawało się, że sztuka dekoratorska dosięgła swego szczytu i nie prędko zobaczymy coś nowego. Chęć jednak zwabienia znacznej liczby widzów jest ważną pobudką dla natchnienia. Dyrekcya więc teatru historycznego postanowiła przedstawić kopalnię węgla ziemnego, i wybuch ognia zwanego *grizou*, a z drugiej strony dla ludzi nie lubiących opuszczać kuli ziemskiej, różnego rodzaju widoki jakie dostrzedz można z łódki balonu wznoszącego się do góry. W tym to celu pan Ferdinand Dugue napisał dramat w pięciu aktach p. t *Balon Morel.* Samo już założenie jest wadliwem, bo nawiązywanie

węzła dramatycznego do zapowiedzianych wcześnie dekoracyi, będzie koniecznie naciąganiem, psującem główną zaletę dramatu, jaką jest rozwój naturalny wypadków. Opera lub balet są właściwem polem do popisu dla dekoratorów, przeważa tam bowiem śpiew lub taniec, a osnowa sztuki ma znaczenie podrzędne, najbardziej cudowne i najmniej spodziewane wypadki nie zajmują widza. W dramacie stan rzeczy jest zupełnie odmienny i najpiękniejsze ozdoby sceny nie zastąpią nieubłaganych prawideł sztuki jeżeli te obrażonemi zostały. Zresztą sama osnowa sztuki usprawiedliwi najlepiej powyżej wypowiedziane zdanie.

Bandyta Manoel w Afryce środkowej zabija młodego Francuza, a później wróciwszy do Europy przez zręczne zabiegi zostaje magnatem portugalskim z przybranem mianem hr. de Varga. Zajmuje on stanowisko dyrektora kopalni węgla w Arras a przytem udaje ojca młodego Karola, aby zyskać tem większą powagę w towarzystwie. W akcie pierwszym poznajemy siostrę zabitego Francuza, Matyldę poślubioną przez hr. de Gévrer. Jadą oni do Afryki szukać brata, bo mają go za zaginionego, dotychczas bowiem nie odebrali żadnej wiadomości o jego śmierci. W towarzystwie ich, prócz innych osób,jedzie młody lord Edward Stone zakochany w Matyldzie, i doktór Morel pracujący ustawicznie, nawet wśród strzał dzikich, nad wynalezieniem kierunku dla balonów. Edward Stone nie mogąc pozyskać serca pięknej Matyldy, szuka śmierci włócząc się po najbardziej niebezpiecznych zakątkach afrykańskich. W jednej z takich wycieczek znajduje w pieczarze szkielet ludzki trzymający w ręku list, w której poleca siostrze córkę swą zrodzoną potajemnie. Przez względy delikatności nie wymienia ani jej imienia ani noszonego nazwiska, ale opisuje medalion jaki pozostawił w rękach córki a który udowodni tożsamość osoby. Jest to właśnie brat Matyldy. O zrobionem odkryciu Stone powiadamia hr. Gevres i jego małżonkę, ale jednocześnie ma miejsce napad dzikich i nieszczęśliwy hrabia raniony śmiertelnie umiera w objęciach żony.

W następnym akcie spotykamy wszystkie znajome nam osoby z dodatkiem Alicyi córki doktora Morel'a. Kocha ona młodego Karola, ale mniemany ojciec książę de Varga a właściwie morderca Manoel, nie chce zezwolić na małżeństwo. Matylda czyli pani hr. de Gevres czuje wiele przychylności dla młodej Alicyi, bo ta jest nadzwyczajnie podobną do jej brata, zmarłego w pustyniach afrykańskich, a co ważniejsza posiada tajemniczy medalionik do którego wnętrza niepodobna zajrzeć z powodu zepsutej sprężyny. Byłoby w takim razie rzeczą najprostszą posłać po jubilera, ale środek tak pospolity zostawiony jest dla zwykłych śmiertelników, w utworach sztuki potrzeba nadzwyczajnego zbiegu okoliczności. Całe więc towarzystwo idzie zwiedzić kopalnię węgla, tam kobieta obłąkana z boleści po stracie męża, brata i ojca, zapala przez nieświadomość ogień grizou, następuje straszliwy wybuch, dziesięciu ludzi jest zabitych, Alicya jest ocaloną dzięki jedynie poświęceniu lorda Stone. Pod wpływem ogromnego wstrząśnienia medalionik został otworzonym nareszcie, a w jego wnętrzu był wizerunek zabitego brata Matyldy. Alicya zatem jest jej siostrzenicą rodzoną. Z powodu węzłów pokrewieństwa Matylda chce koniecznie wydać Alicyą za Karola a ponieważ książę Varga stoi ciągle na przeszkodzie, lord więc Stone postanawia zbadać przeszłość tego człowieka, bo jego postać z wielu względów jest tajemniczą. Zbrodnia została wykrytą i morderca ojca Alicyi ma otrzymać zasłużoną karę. Lord jednak nie chce go oddawać ani w ręce sprawiedliwości ani kalać swej szpady krwią niegodnego. Rodzaj zemsty jest zupełnie oryginalny. Doktór Morel ukończył nareszcie budowę balonu i mając puścić się w powietrze idzie poraz ostatni ucałować córkę. Korzystając z jego nieobecności lord Stone porywa fałszywego księcia Varga, wrzuca go do łódki a dawszy rozkaz puszczenia sznurów pędzi w górę aż do ostatnich krańców powietrznych. Płótno zręcznie przesuwane uwydatnia aż do złudzenia rozmaite obrazy ziemi wedle opisu osób odbywających podróże nadpowietrzne. Varga zostaje zaduszony z powodu braku żywiołu tyle koniecznego dla życia, a Stone zdrowiuteńki spada do krateru wulkanu, zkąd wyrzucony szczęśliwie spotyka u stóp góry całe towarzystwo, i podwójne małżeństwo kończy sztukę szczęśliwie.

POGADANKA.

Radość i smutek, uśmiechy i łzy mienią się jak tęcza różnobarwna. Nie czcze te wyrazy: zniewolonym do trzymania się bruku warszawskiego, wzdychającym po długiej zimie za odrodzeniem.,. za wiosną... za chwilą wytchnienia i rozrywki, czy nie należą się tego rodzaju rozkosze, jak wieczory w Dolinie Szwajcarskiej przy dźwięku dobrej orkiestry Bilsego, jak „odnowiony“ teatr letni w ogrodzie Saskim, jak teatrzyki ogródkowe, cyrk Salamońskiego, zamiejskie wycieczki, do Zacisza, Wierzbna, Wilanowa i jak wiele innych jeszcze pokus, nastręczających uciechy niewinne? Otóż tego Warszawie nie brak: szczera a niezdrożna wesołość pokrzepia lepiej, niż nektar bawarski. Olimp bogów pogańskich huczał gromkim śmiechem, gdy bogowie wybierali się na wyprawy, wymagające niemałej energii. Tej zalety nigdy za wiele, bo druga strona, smutniejsza, jak Malczewski mówi:

Tak jest niestety! „Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.“ i oto z prowincyi nadchodzą niewesołe wieści, że rolnicy zasłuchani w czarujące szmery przyrody, usłyszeli z przerażeniem cichy chrzęst licznie rozrodzonych chrząszczyków i pełzanie liszek pustoszących roślinność. Z innych stron znowu donoszą o suszy nie dającej tchnąć roślinom. Omdlewają one i zdają sią wołać rosy i dżdżu! jak wesoła młodzież miejska płci obojej: pogody dla wycieczek!

Najsmutniejsza jednak, że już nie z kilku, ale z wielu stron kraju donoszą o klęskach pożarów. Pryskające tysiącem iskier nad głową mieszkańców dachy, mogą doprawdy napełniać serce rozpaczą. Pomocy woła już wielu a smutne doświadczenia powinnyby zachęcić mniejsze miasta do zabezpieczenia się przeciw tak zgubnemu żywiołowi, a przedewszystkiem do urządzenia o ile można najskuteczniejszej obrony. Świat polityczny woła dziś bez wytchnienia: *Si vis pacem, para bellum* pragniesz pokoju, bądź gotów do wojny: pragniecie bezpieczeństwa od ognia, uzbrójcie się w straż ochotniczą. Piotrków, Kalisz i Lublin podobno już to zrobili, niechże i inne miasta pójdą za tym przykładem, nawet wioski, bo bez starunku nie ma ratunku.

Czasy cudów bezpowrotnie minęły, kto chce być całym sam o grzbiecie swoim winien myśleć.

W tygodniu ubiegłym znaczne grono osób z Warszawy jeździło spojrzeć na trudne zadanie zakładu w Studzieńcu, trudne, gdyż zadaniem jego: podnieść dusze upadłe ku światłu albo obudzić spowite zupełnie ciemnością. Świadkowie popisu wychowańców w Osadzie rolnej stwierdzili znaczne postępy w krótkim czasie, przekonali się o wzorowym porządku i błogim wpływie wychowania poprawczego. Obecnie zakład posiada sześć domków piętrowych murowanych, siódmy także piętrowy, lecz większy już na ukończeniu, przeznaczony na pomieszczenie składów osady i zarządu. W Osadzie znajduje się teraz 60 wychowańców, ale w lipcu osada będzie mogła pomieścić ich 120. Praca, nauka, wpojenie zasad moralnych i porządek są środkami wiodącemi do wyżej wspomnionego celu.

Może też przyjdzie z czasem do skutku i inna bardzo ważna instytucya, będąca dotąd tylko... projektem. Idzie o zabezpieczenie losu rzemieślników i robotników miasta Warszawy. Wyszła broszura krytykująca projekt ustawy stowarzyszenia wzajemnej pomocy rzemieślników i t. d. Gazeta Warszawska podała kilka słów rozbioru broszury i uwagi samego autora p. Spornego. Nie mogąc się wdawać w roztrząsanie przedmiotu, dodamy jedynie, że za granicą podobne stowarzyszenia łącząc korzyść z rozrywką, urządzają własny lokal na czytelnie, teatra amatorskie sztuczek ludowych i odczyty podejmowane przez członków honorowych lub nawet nieczłonków. Obcy płacą niewiele za wstęp, ale zawsze to stanowi znaczny często dochód. Nie przesądzamy o ileby to było możebne u nas, w każdym razie jednak stowarzyszenie podobne byłoby bardzo pożądane jako przecie choć coś robiące w kierunku tak niezmiernie ważnym.

Chcąc szynk dla rzemieślników zastąpić czytelnią, teatrem i odczytami, to zadanie większe jak się zdaje. Nie idzie tu o urządzenie podobnież pożytecznych rozrywek, ale o usposobienie członków stowarzyszenia do rozmiłowania się w nich. Już to na brak projektów użalać się nie możemy, gdyby tylko chęć wytrwała aż do wcielenia myśli w życie! Często jednak zapał spada aż do zera i zawsze idzie o podparcie owego zapału w samym początku bodaj drobnym a pięknym czynem. Donoszą o takim z Grójca. Słabo się rozwijające w tamtej okolicy Towarzystwo zaliczkowo-wkładowe groziło upadkiem. Zwołano tedy posiedzenie, ziemianie i obywatele przybyli w zastępie poważnym, przewodniczył posiedzeniu Książę T. Lubomirski, który piękny swój wniosek podtrzymania Towarzystwa i usunięcia niedoboru składką dobrowolną poparł zaraz czynem, gdyż podpisał się sam na 500 rs. Pośpieszono za dobrym przekładem i wkrótce wyniosła suma ofiar zdeklarowanych 4,000 rs.

Rośnie także suma zbierająca się na uczczenie jubileuszu J. I. Kraszewskiego. Z najświeższego sprawozdania wydawców pisma jubileuszowego, widzimy że na procent do Kasy Przemysłowców warszawskich wniesiono już 7,700 rs. Pomnaża się oraz liczba prenumeratorów, gdyż z blizko 8,000 poskoczyła do 12,000 i w tej liczbie obecnie musi wydawca drukować egzemplarze. Dowiadujemy się nakoniec, że jakoś tym razem dość jednogłośnie zgodzono się na dzień jubileuszu. Komitety krakowski, lwowski i poznański oznaczyły tak samo jak Warszawa dzień 19 Marca 1879 roku, jako dzień imienin czcigodnego jubilata.

Z okazyi tak godnego uczczenia poety gdyż jest nim bez wątpienia Kraszewski, przypominają się pomimowoli okrzyki i lamenta na rozmarzenie czy rozpoetyzowanie naszego społeczeństwa. Może to było kiedyś, ale dziś... młode pokolenie jest tak trzeźwe, że po za rublem nic nie widzi tylko... pięciorublówkę. Gdzieindziej troszkę inaczej. Z wykazów bibliograficznych angielskich dowiadujemy się, że w Anglii w roku 1877 wyszło na 5,095 dzieł w ogóle, 854, powieści i 572 wyraźnie pięćset siedmdziesiąt dwa tomików poezyi i dramatów. I to naród pozytywny, praktyczny a my zawsze wyklinani przez pseudo-mędrców za poetyczność, choć poezyi

tomik lub dramat na teraz u nas prawdziwą rzadkością.

Walka rozpoczęta przeciw poezyi na bruku warszawskim odezwała się, jak donoszą w Galicyi i w tamtejszych pismach. Z tą jednak różnicą, że tam ogół i pisma odzywają się z większem oburzeniem przeciw rycerzom, którzy wypowiedzieli wojnę pieśni i śpiewakom. Smutnej pamięci, śmiesznej postawy Don Kiszot znalazł niegdyś autora, który uwiecznił wyprawy sławnego rycerza przeciw wiatrakom. I u nas zaprawdę byłaby to wdzięczna rola dla autorów. Pyszna postać rycerza czasów naszych, któremu się zdaje że zwalcza mrzonki, mówi z wielką powagą a sam opętany nie wie, że walczy przeciw urojeniom własnej głowy.

Wystawę obrazów Matejki urządzoną w Ratuszu zwiedziło dotąd około 5,000 osób. Donoszą, że artysta ma przysłać jeszcze kilka utworów swojego pędzla: Obraz „Bitwa pod Grünwaldem" odbywać ma podróż po Europie. Nabywca zapłacił wprawdzie drogo gdyż 40,000 guldenów austryackich, ale wystawiając obraz po różnych miastach Europy zbierze zapewne część sumy ofiarowanej artyście.

Jedno z pism tutejszych doniosło o śmierci Juliusza hr. Strutyńskiego, którego ogół znał pod pseudonimem Berlicza Sasa. Ś. p. Strutyński urodził się w r. 1810 w Lipowcu na Ukrainie. W wieku już podeszłym przechodził smutne koleje, zmarł w Petersburgu. Wydał pod wspomnionym wyżej pseudonimem następne utwory: Starościna Horodelska, Obrazki czasu i ludu, Pani kasztelanowa Trocka, Miscellanea, Gawędy, Dwie babki (ze wspomnień młodości), Kaukaz, Ukraina, Wołyń i Podole; Sceny myśliwskie, Kalejdoskop, Mozajka, Dwaj biskupi i w rękopiśmie pamiętnik p. t. Pan Jeremiasz. Autor przyjmowanych sympatycznie utworów nie cieszył się dolą pomyślną, szczególniej pod koniec żywota. Ciężkie było życie, oby mu ziemia lekką była.

Smutną równie wieść przyniosły pisma zagraniczne o śmierci Władysława hr. Tarnowskiego, utalentowanego muzyka i poety. Zmarł w młodym wieku gdyż licząc dopiero 35 lat życia, śmierć zaskoczyła go w podróży w San-Francisco w dniu 3 maja. Ś. p. Tarnowski pisywał poezye pod pseudonimem Ernesta Buławy, osobny tomik poezyi jego wyszedł w Lipsku pod tytułem: Poezye studenta. Z Kornelem Ujejskim łączyła go choć o wiele młodszym, przyjaźń serdeczna. Autor pieśni biblijnych, kwiatów bez woni i Samsona, cenił w Tarnowskim umysł podniosły, gorliwość do czynów szlachetnych a nakoniec prawdziwy talent poetycki objawiający się w dwóch pokrewnych kierunkach: o słowie i muzyce. Oprócz prac poetycznych, zostawił Tarnowski między innemi śliczny przekład historyi nowoczesnych walk Grecyi wyzwalającej się z pod jarzma tureckiego.

Do wspomnień pośmiertnych jeszcze jedno przybyło w tych dniach. W Zurychu zmarł w dniu 13 maja Andrzej Towiański, znany z głoszonego przez siebie mesyanizmu. W swoim czasie potrafił był „mistrz" jak go nazywano, pozyskać dla swojej idei i takie geniusze, jak Mickiewicza i Słowackiego. Z ogłoszenia pośmiertnego dowiadujemy się, że ś. p. Towiański zakończył żywot przykładnie na łonie kościoła w którego wierze był wychowany. Zmarł w 80 roku życia: dziś znajduje się już w obec prawdy przedwiecznej.

Czytaliśmy już wiele sprawozdań oryginalnych z wystawy paryzkiej a wszystkie donoszą o drożyznie niesłyczanej. Za oglądanie pięknych rzeczy zgromadzonych z całego świata każą sobie Francuzi płacić słono, wprawdzie nie bezpośrednio za wstęp stosunkowo tani, ale za każdy kęsek chleba, odrobinę masła lub kroplę wina. W popieraniu więc najpiękniejszych nawet zadań odzywa się zawsze jedna z najbrzydszych słabości ludzkich wieku bieżącego... chciwość. W obec podobnych objawów nie szkodziłoby, gdyby rządy nałożyły choć częściowy hamulec na zachwaloną „wolną konkurencyą" a w ślad za nią idąca i wolnością obdzierania ludzi.

Teofil Szumski.

Przegląd literacki.

Szlachetna zabawa, zbiór oryginalnych powiastek i opowiadań dla młodzieży. Wydał Władysław Nowicki. Warszawa, 1878 r.

Pan Władysław Nowicki na wzór botanika który z różnych kwiatów składa misterny bukiet, ofiarował młodzieży zbiór oryginalnych powiastek, wiązankę utworów sześciu autorek i jednego autora.

Wybór prac tych ogólnie uważając, jest dobry a nawet nadspodziewanie bardzo dobry, zwłaszcza że nie przypuszczaliśmy nawet, aby w Warszawie znalazło się sześć piór kobiecych i jedno męzkie, umiejące tak zręcznie i pożytecznie pracować dla młodego pokolenia. Sam wydawca przytem wyborem tak trafnie dopełnionym dał dowód najlepszy, że należycie pojmuje warunki do niego przywiązane. A nie jest to rzecz tak mało znacząca jak się zdaje na pozór: trzeba tu bowiem nie sprytu kupieckiego umiejącego wydaną książkę upstrzyć krzyczącą okładką i rozgłosić jej wartość reklamami gazeciarskiemi, ale zdrowego sądu o rzeczy zdolnego ocenić nietylko sam sposób opowiadania ale i treść jego w najdrobniejszych szczegółach.

Wydawców takich zupełnie nie mamy, posiadamy wydawców kupców ale nie wydawców redaktorów: posiadamy kilka roztrąbionych nazwisk jakoby jedynie umiejących pisać dla dzieci, ale nie pracowników rzeczywiście zdolnych: posiadamy wreszcie mnóstwo książek dla dziatwy różnego wieku przeznaczonych, ale jakże mało prawdziwie pożytecznych a mnóstwo lichych a nawet szkodliwych. Zarzut ten łatwo usprawiedliwić pierwszą lepszą książką wziętą z półek księgarskich której piękna okładka przynęca, nazwa autora lub tłomacza zaleca, a reklama gazeciarska chwali.

Pan Nowicki, jak w obecnych czasach, jest pierwszym prawdziwym wydawcą redaktorem zważającym jedynie na treść i sposób jej przedstawienia, w opowiadaniach do zbiorku swego użytych, bez względu na rozgłos nazwisk jej Autorek. A nawet przeciwnie, pominąwszy owych *jedynych* pisarzy których samo nazwisko stanowić już ma rękojmię wartości książki, według zdania gazeciarskich krytyków, wydobył z ukrycia nowe zupełnie lub mało znane nazwiska, pomiędzy któremi pani Cecylia Stattlerowa szczególniej zaleca się zarówno formą jak treścią w dwóch swoich powiastkach, owym tak koniecznym taktem, ważącym nietylko myśli ale nawet słowa aby przypadkiem w czytelnikach nie rozbudzić wrażenia w fałszywym kierunku.

Zasługa to wielka p. Nowickiego jako wydawcy redaktora, która nie dziwi nas wcale ze względu na prace własne poprzednio przez niego wydane i znane nam w rękopiśmie a do druku już przygotowane.

W ogóle najlepszemi utworami w powyższym zbiorku, jak już powiedzieliśmy, są powiastki p. Cecylii Stattlerowej, po nich pierwsze miejsce zajmują prace Jaskółki i p. Waleryi Marrené. Opowiadania p. Antoniny Łubowej grzeszą zbytnią domieszką nieodpowiedniej dla młodego wieku cudowności: w obrazku zaś pani Sabiny Wendorfowej cokolwiek przegląda brak tak koniecznej prostoty.

Pani Cecylia Stattlerowa w powiastce p. t. „Cudowne gwiazdki" skreśliła z najzupełniejszą prawdą marzenia młodziuchnej dziewczynki. To co opisuje ma rzeczywiście miejsce. Dwunastoletnie panienki bujają bardzo często w krainach fantazyi. Marzenia te o niewyraźnych zarysach są zwykle jakimś nieokreślonem życzeniem, z którego same sobie zdaćby sprawy nie umiały. Jest to coś tajemniczego, coś, co obrawszy siedlisko wśród gwiazd i obłoków niebieskich, poczyna już bezwiednie tykać ziemi.

W powiastce p. Antoniny Łubowej p. t. „Promień księżyca" ciotka małej Maniusi pani K. była, jak się wyraża autorka, kobietą poczciwą, dobrego serca ale poważną *nad miarę*. W wychowaniu powierzonej jej opiece siostrzeniecy postanowiła strzedz się od dawania dziecku zbytniej woli, *szkoda tylko, że nie umiała wziąść się do tego należycie*. Panienka z natury swej posiadała mnóstwo przymiotów, lecz postępowanie opiekunki wpłynęło niekorzystnie na rozwinięcie w jej charakterze nieznanych przedtem wad. Dawniej była tylko gwarną, roztrzepaną, żywą, ale *nieustanne gderania ciotki zrobiły ją niecierpliwą i upartą, brak pieszczot zimną i zamkniętą w sobie, aż z owego łagodnego i miłego dziecka zaczęła robić się nieznacznie wiele wad mająca dziewczynka.*

Piszę umyślnie kursywą własne wyrazy autorki ażeby uwydatnić niewłaściwość podobnego rozumowania. Dziecko każde z natury niezmiernie jest wrażliwe, zasługujące na połajanie łatwo przypuści winę w opiekunce na wzór osoby przedstawionej. Oprócz tego całej powiastce nic zarzucić nie można, a całą książeczkę uważamy za jeden z najpiękniejszych kwiatków wyrosły na niwie ojczystej dla dzieci literatury.

Ludwik Niemojowski.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 11 (23) Мая 1878 г. Redaktor J. K. Gregorowicz Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 20.

(Dokończenie)

N. 20. Kapelusz z żółtej słomki.

Model przybrany był dwoma jedna na drugiej



N. 1. Stanik z baskiną i szerokim obłożeniem.

przyszytemi riuszami, z których pierwsza ułożona była ze wstążki atłasowej 9 cent. szerokiej, słomkowego koloru, a środkowa ze wstążki blado-niebieskiej, 6 cent. szerokiej. Rondko 6 cent. szerokie, podszyte było bufką z blado-niebieskiego repsu, trochę wystającą z brzegu; bukiecikz traw i kwiatów polnych i skrzydełko świecące niebieskie dopełniały przybranie kapelusza.

N. 21. Kapelusz z tiulu i koronki.

Na foremce ze sztywnego, czarnego tiulu, bufiastą główkę układa się z czarnego jedwa-



N. 2—3. Ubranie spacerowe i domowe. Krój stanika patrz ryc. 1—2 w N-rze 9, paletocika patrz ryc. 27 w N-rze 19.

N. 22—24. Chustka trójkątna na głowę, robiona na drutach.

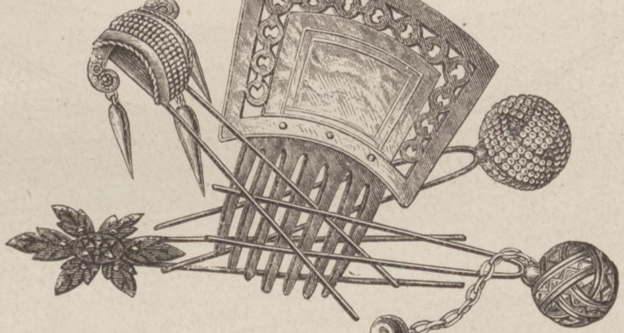
Skrócenia: o. oko, gł. zamiast zrobić gładko, zd. zamiast zdjąć nieprzerabiając, zg.—gł. zgubić gładko, zg.—prze. zgubić przewlócząc oko jedno przez drugie, przy. zamiast przybrać przez zarzucenie nitki na drut.

Do chustki na głowę ryc. 23, tło i koronka ro-

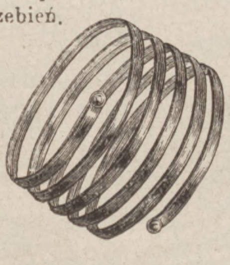


N. 4. Stanik z fałdowaniem i frakową baskiną. Patrz ryc. 2.

bi się razem na drutach kościanych, z włóczki Mochair'owej, brzegi dolne proste mieć powinny po 91 cent. brzeg górny 142 cent. długości, a środek 54 cent. wysokości. Koronka której zęby dopiero po rozpięciu i zwilżeniu chustki; stają się szpiczaste, ma deseń bardzo łatwy, zaczyna się na o. 20 a składa z 21 rzędów, które na każden ząb trzeba dwa razy powtórzyć. Pierwsze oko z druta zdejmuje się zawsze nie robiąc * rzęd 1, 3, 5, i wszystkie inne nie parzyste robi się zawsze gładko. W rzędzie 2-gim pierwsze zd., 1-no gł., 1 przy., 1 zg.—gł., 1 gł. 1 przy., 1 zg.—gł., 1 gł., 1 przy., 1 zgu.—gł., 10 gł.



N. 5—9. Modne szpilki do głowy i grzebień.



N. 10. Bransoleta.

bnego tiulu w muszki. Rondko pokrywa koronka tilleul i czarna naszyta w sposób wskazany na ryc. 21, w środku przedzielona wstążką repsową koloru tilleul, z której są także końce i kokardy upięte z jednego boku; z drugiej strony przypięty bukiecik róż herbacianych.



N. 11. Suknia z długą tuniką i stanikiem z baskiną frakową. Patrz przód stanika ryc. 37 a krój tuniki ryc. 19.



N. 12. Suknia z suto przybraną spódnicą i stanikiem z baskiną. Patrz ryc. 36.

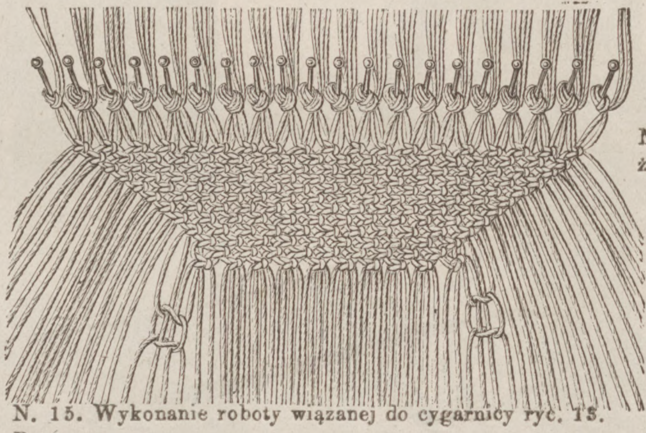
W następnych rzędach parzystych (jak 4, 6, 8 i t. d.) trzeba przed pierwszem przybraniem o. 1-no oko więcej a przed ostatniem zgu. robić o 1-no o. mniej gładko jak w poprzedzających rzędach parzystych; zaś w rzędzie 20-tym 1 o. zd., 10 gł., trzy razy 1 o. przy., 1 zg. gł., 1 gł.; rząd 21 cały gładko i powtarzać od gwiazdki. Ryc. 24 przedstawia w naturalnej wielkości jeden ząb szlaku, przy którym zaczyna się chustkę od tylnego szpiczastego rogu. Pięć ocz. górnego brzegu tego zęba, nabiera się na trzeci drut, w sposób na ryc. 24 wskazany, zajmując drugie oko łańcuszka a dalsze cztery w odstępach co 4-te oko. Jak to strzałka na próbce wskazuje, na ten sam drut nabiera się 20 o. któremi zaczęta była koronka, następnie w dalszym ciągu roboty, czyli od ostatniego przerobionego rzędu, gubi się najpierw przewłócząc jedno przez drugie, 5 o. nabranych, a tym sposobem zaczyna się rząd dziurek, odgraniczonych szlak od tła. Ażeby koronka nie ciągła się przy rogu chustki lecz owszem była naddaną, z obydwóch stron robi się po 4 rzędy na szlak, (2 razy tam i napowrót), a raz na tło; to ostatnie rozszerza się stopniowo przez przybranie jednego o. na końcu każdego rzędu, te oczy stanowią zarazem rząd dziurek odgraniczających tło od szlaku. Gdy będziemy miały 13 o. tła, trzeba zacząć potrójny rząd dziurek, otaczający chustkę w koło, a przedzielony 5 o. od poprzedzających; robota dziurek jest zbyt pospolitą i nie wymaga opisu. Jeszcze przez 16 obrobień tła, 18 tam i na powrót, koronkę przerabia się po 4 razy przy skończeniu każdego rzędu, dalej przybieranie jest niepotrzebne, co zresztą sprawdzić można rozłożywszy robotę gładko na stole, tło tylko ciągle równo się rozszerza a koronka obrabia raz przy każdym rzędzie. Gdy tło chustki dojdzie do 230 o. szerokości robi się potrójne dziurki a koronkę znów dla potrzebnego rozszerzenia w rogu, przerabia się po 4 razy; podziurkach troistych przerobić 6 razy tam i napowrót gładko, zrobić pojedyńczy rząd dziurek, zakończyć tło, a koronkę górną robić poprzecznie podług próbki i przyrabiać do tła z początku co dwa potem co 1 obrobienie tam i na powrót. Przy spojeniu koronki w następnym rogu, potrzeba uważać ażeby deseń dobrze wypadł.



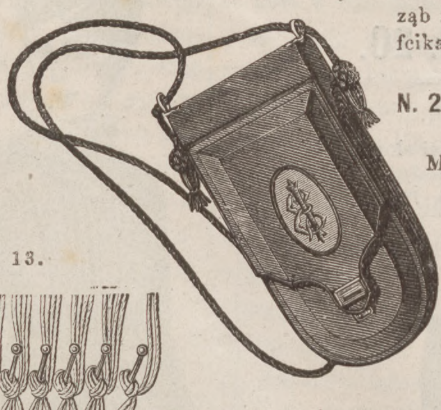
N. 13. Cygarnica robotą wiązaną. Patrz ryc. 14-15.



N. 14. Obrobienie brzegów do ryc. 13.



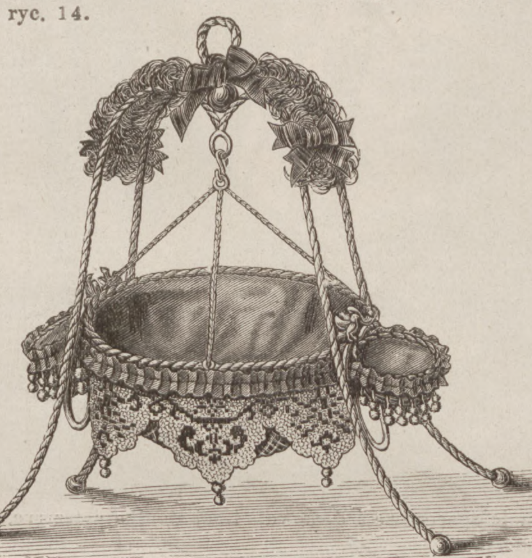
N. 15. Wykonanie roboty wiązanej do cygarnicy ryc. 13. Patrz ryc. 14.



N. 16. Cygarnica podróżna, ozdobiona monogramem.



N. 18. Spódnica do kostiumu ryc. 2--3.



N. 17. Koszyczek do robót.



N. 20. Tunika okrągła. Patrz ryc. 21.

Skończoną chustkę zwilżyć gumowaną wodą i rozpiąć na stole kuchennym lub na podłodze, rozciągając każden ząb i przypinając maleńkiemi sztyfcikami lub mocnemi szpilkami.

N. 28. Chusteczka czarna tiulowa.

Model chusteczki miał kształt przedłużonego trójkąta z trochę zaokrąglonemi końcami, środkowa szerokość wynosiła 82, a długość górna 236 centymetrów; koronka w koło odrobiona była na tle z czarnego jedwabnego tiulu. Górny brzeg chustki wykłada się na wierzch i zaszywa z tyłu w środku, w kilka fałdek. Końce z przodu przerzucają się w sposób na ryc. 28 wskazany i przepinają broszą lub bukiecikiem.

N. 29—33. Fasony wiosennych kapeluszy.

N. 34—35. Kapelusz perkalowy, odpowiedni do kostiumu.

Z tego kretonu co suknia i garnirunek odrobiony kapelusz, podgarnirowany jest karbowanym muślinem lub krepą i podpięty różą z pączkami, a z wierzchu przybrany trochę koronką i długim welonem z illuzyi lub gazy.

N. 36. Klamra do paska.

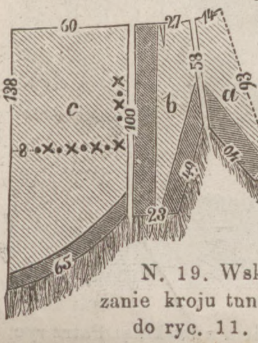
Nie tylko do bluzek lecz do sukien princesse i do staników z baskiną bardzo są modne paski ze wstążki albo z materyi tego co suknia koloru z klamrą złoconą, srebrną, stalową lub dżetową. Ryc. 36 przedstawia klamrę filigranową złoconą.

N. 39. Ubranie spacerowe formą princesse.

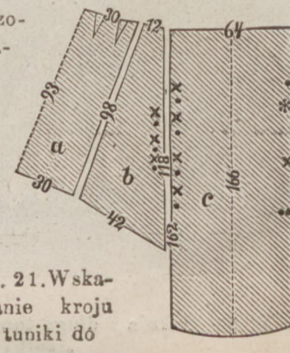
Z przodu na sukni oszytej tylko jednem plisowaniem, dana jest draperya z jednego prostego bryta, wszyta pomiędzy szew boczny pleców. Plecki z długą baskiną, złożone z 4 części, krają się razem z długo spuszczonemi suto przyfałdowanemi brytami draperyi, do których dodaje się potrzebną na fałdy szerokość. Z przodu dodane sączęści kaftanikowe oszyte imitacyą piór, która zdobi także rękawy i naszyta jest skośnie na draperyą z przodu. Kapelusz biały bastowy, ubrany piórami i wstążką białą atlasową.



N. 22. Szlak do chusteczki batystowej.



N. 19. Wskazanie kroju tuniki do ryc. 11.



N. 21. Wskazanie kroju tuniki do ryc. 20.

N. 40. Ubranie spacerowe dla małej dziewczynki.

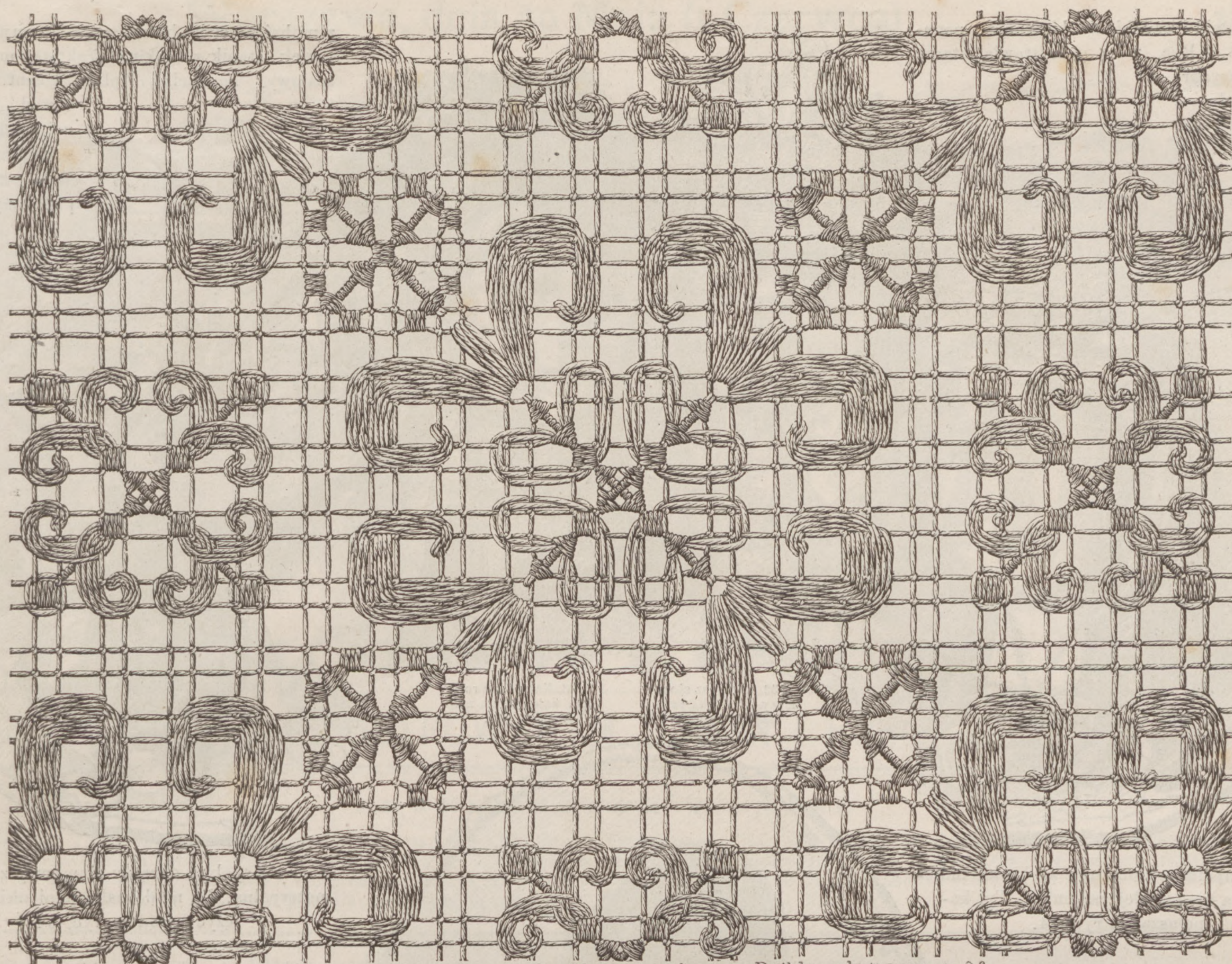
Składa się z granatowej wełnianej spódniczki i płaszczyka kaszmirowego, tego samego koloru, z troistą pelerynką. U dołu płaszczyk jest oszyty dwa razy białą koronką, z chodzącą jedna na drugą, z boku rozpruty i ozdobiony kokardą z niebieskiej wstążki. Dolna pelerynka objęta wypustką z niebieskiej materyi i oszyta koronką, dwie oszyte tylko wypustkami.

N. 41. Ubranie ranne. Krój podług ryc. 1—2 w N. 1 Tygodnika Mód.

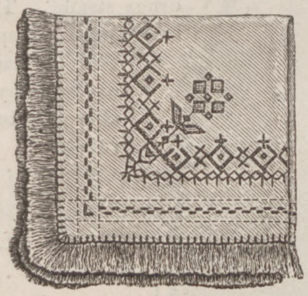
Szlafrok z niebieskiego kaszmiru ozdobiony jest u dołu 20 cent. szerokiem obłożeniem z atłasu pikowanego w kratę w maszynie; takież ubranie dodane wzdłuż przodów, które zapinają się z boku na kryte haftki. Guziczki naszyte tylko jako przystrojenie. Pod atłas do pikowania daje się cienką watę i muślin. Wypustki z niebieskiej materyi.

N. 42. Ubranie z vêtement formą princesse.

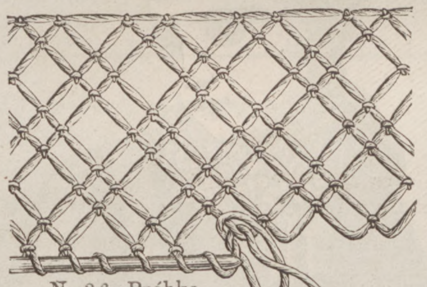
Na modelu spódnica z ciemno-popielatej beżowej sukni, oszyta była szeroką w kontrafałdy ułożoną falbaną, zakończoną wązkiem plisowaniem. Vêtement u dołu oszyte jedwabnym galonem i plisowaniem; z przodu pomiędzy guzikami do zapięcia, dane patki z galonu, przypięte pod kokardami ze wstążki. W miejscę galonów można dać plisy z tego cо suknia materyału z wypustkami z materyi.



N. 25. Siatka gipiurowa na firanki, serwety i t. p. Próbka roboty na ryc. 26.



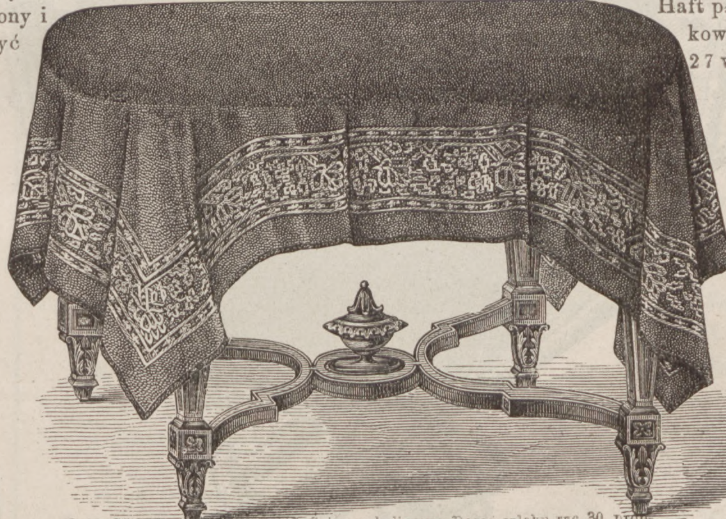
N. 23. Przykrycie na stoliczek albo do koszyczka. Ścieg na dwie strony i krzyżowy. Zobaczyć także ryc. 15--17 w N. 20 T. M.



N. 26. Próbka roboty tła do siatki ryc. 25.



N. 24. Przykrycie do koszyczka albo na stoliczek. Haft płaski i sznureczkowy. Zobaczyć ryc. 27 w N. 20 Tygodn.



N. 29. Serweta su[illegible] na stół. Scieg gobelinowy. Deseń szlaku ryc. 30, próbka ściegu ryc. 26 w N. 20.



N. 27. Sznur do firanek albo do portyer, kręcony z włóczki i jedwabiu w kolorach mebli.

OPIS DO N. 21.

N. 1. Stanik z baskiną i z szerokiem obłożeniem. Krój podług ryc. 3—4 w N. 19 Tygodnika.

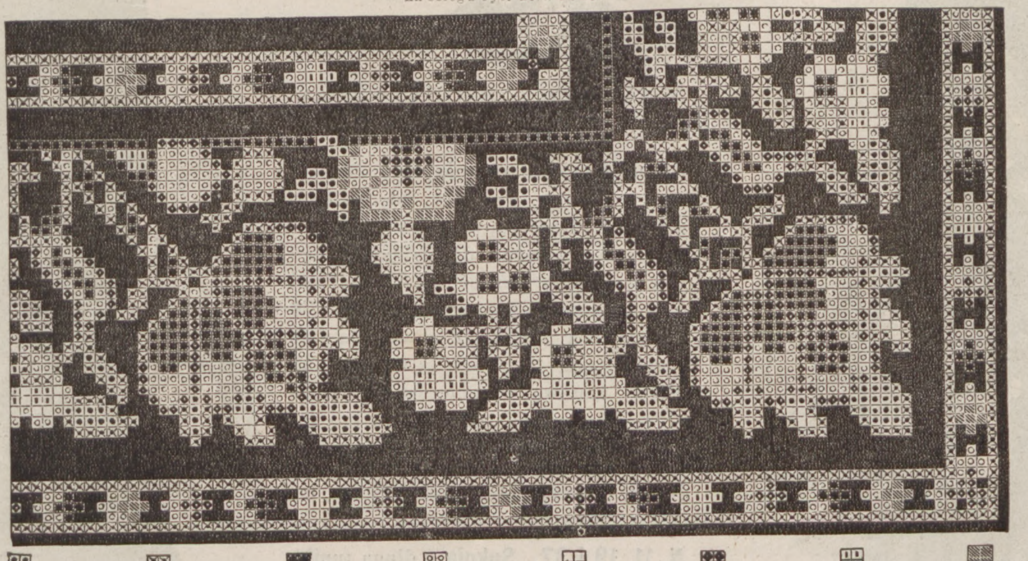
Model sukni odrobiony był z wełnianego i jedwabnego materyału, można jednak kostium taki odszyć z kretonu, płótna, lub innych letnich tkanin, 14 cent. szerokie dolne obłożenie stanika zakończone wypustkami ze sznureczkiem, zarówno jak środkowe części pleców i szalowy wykład przodów, mający 8 cent. górnej a 3 dolnej szerokości, były z gładkiej materyi faille, a suknia z materyału wełnianego, przerabianego różnokolorowemi nitkami. Do górnej części przodów wystającej pomiędzy wyłożeniem, przyszyte są poprzeczne patki materyalne 2 cent. szerokie, zapinane na kryte haftki; u dołu nad obłożeniem dane są w każdym przodzie 2 przecięcia 4 cent. długie, przez które przewłóczy się końce 5 cent. szerokie z materyi podwójnej, złączone węzłem a zakończone pukielkami przechodzącemi za brzeg obłożenia. Na środkowych częściach plecków nad obłożeniem dolnem, dana kokarda z podwójnej materyi. Ubranie rękawów stanowią klapki i pliski naprzemian wełniane i jedwabne, naszyte w sposób wskazany na ryc. 1.

N. 2—4 i 18. Ubranie domowe i spacerowe, złożone ze stanika z baskiną, spódnicy i paletocika. Krój stanika podług ryc. 1—2 w N. 9, a paletocika podług ryc. 27 w N. 19 Tygodnika.

Suknia z lekkiej, wełnianej tkaniny koloru piaskowego, składała się ze stanika z baskiną, spódnicy z przodu marszczonej, z tyłu podpinanej w sposób na ryc. 2—3 wskazany, i paletocika służącego do spacerowego ubrania. Wypustki, kokardy i dopełnienie garnirunków było z materyi bronzowej. Bryt przedni we środku i z boków jest w odstępach trzy razy przemarsony, a marszczki środkowe przepięte kokardami. Na przemarszczenia dodaje się 55—60 cent. długości, a brzegi bryta ułożonego na gładkiej, muślinowej podszewce, oszywa się falbankami 5 cent. szerokiemi. Z tyłu na spódnicy dane jest upięcie tunikowe, z oddzielnego, prostego, 150 cent. długiego bryta. Jak widzimy na ryc. 3 i 18, bryt ten jest w koło wypustką objęty, w górze zfałdowany, w listewkę wszyty i na haftki do paska spódnicy przypięty; z jednego boku w dwa głębokie, jeden na drugi zachodzące pukle założony, z drugiego w jeden pukiel i kilka jedna na drugą zachodzących fałdek zaszyty, kokardą przepięty i do bocznego szwa spódnicy przyczepiony. Trzy od-



N. 28. Sznur do firanek albo do portyery. Kręcony z kolorowych włóczek.



Ciemniejszy Kolor ol wk. Jaśniejszy Ciemny, jaśniejszy najjaśniejszy kolor drzewny orzechowy. kolor rubinowy. kolor ciemno i jasno-szafirowy.

N. 30. Deseń na szlak do serwety ryc. 29.

mienne garnirunki spódnic i ozdobienie kieszonek, podajemy na ryc. 2, 3 i 18. Ryc. 2 i 4 przedstawia stanik z frakową baskiną i marynarskim kołnierzem z tyłu i z przodu w małe zakładki ułożony, ozdobiony bronzowemi wypustkami bez sznureczka. Pasek przy



N. 32. Kapelusz słomkowy z główką szpicaastą, dla małej dziewczynki.

N. 33. Kapelusz z rondem zgiętem, dla małej panienki.

N. 31. Kapelusz słomkowy z główką materyalną, dla niedorosłej panienki. Tył kapelusza na ryc. 34.

N. 34. Kapelusz okrągły słomkowy z główką materyalną, dla niodorosłej panienki. Zobaczyć przód na ryc. 31.

szwach bocznych wszyty jest w 3 poprzeczne fałdy złożony. Paletocik bez rękawów szyje się na podszewce, obejmuje taką jak stanik pliską, a przy bocznych szwach pleców u dołu, wszywa się klapki 20—25 cent. długie, 7 cent. szerokie objęte wypustką i oszyte wązkiem plisowaniem, które naśladują kieszenie.

N. 5—9. Modny grzebień i szpilki do głowy.

Ławka grzebienia jest z konchy perłowej



N. 36. Stanik z baskiną do ryc. 12.



N. 35. Fryzka i zwierzchnie mankiety z koronki i wstążki.

mieniącej się w rożne kolory, od bardzo ciemnego prawie od białego, z brzegu ażurowym deseniem ozdobiona i przymocowana do szyldkretowego lub bawolego grzebienia sztyfcikami z główką ze szlifowanej stali. Ryc. 6 przedstawia szpilkę dżetową clair de lune zaś ryc. 7—9 szpilki srebrne lub złote, matowe lub polerowane, które służą do przypięcia czepeczków lub kokard, albo same ozdabiają głowę.

N. 10. Bransoleta ze złota, srebra, lawy albo szyldkretu.

N. 11, 19 i 37. Suknia z długą tuniką i ze stanikiem z baskiną.

Model ryc. 11 i 37 odrobiony był z mohairu jasno-bronzowego i ciemniejszej materyi bronzowej; stanik z baskiną frakową miał rękawy, kołnierz szalowy, kamizelkę i plisę 4 cent. szeroką z materyi. Przód i boczne bryty wełnianej spódnicy oszyte były plisowaniem 14 cent. szerokiem. Wzór kroju i miary tuniki podajemy na ryc. 19; połowa przodu oznaczona jest literą *a* klin boczny literą *b* bryt tylny literą *c*, taki sam bryt i klin dodaje się na drugą stronę. Trzy fałdy boczne oznaczone na brycie krzyżykami i kropkami, zaszywa się na 30 cent. od góry, fałdy poprzeczne tylko 8 cent. od brzega nie dochodzące, zaszyte są o. 10 cent niżej. Plisy materyalne przy tunice, mają 14, frendzla 13 cent. szerokości.

(Dokończenie nastąpi).



N. 37. Stanik z baskiną i kamizelką do ryc. 11.